

Dziś w numerze: Nie będą siadali w czapkach przy stole • Lasery nadzwonnicach • Fontanna • Dwugłos o „Tangu” • Z perspektywy lat czterdziestu • Signora Niccolini • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy



Nr 2 (364)
16. I. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODRA pisze WIERSZE

*Jutro, świat będzie wolny od
zmory pracy. Maszyny wykarmią
głob, wytworzą wszystko co będzie
nam potrzebne...*

(ALBERT DUCROUGG)

Prorokom wierzymy wtedy, gdy się już nie. Na razie jednak — człowiek od wie- w pracuje i liczy. Kolumnami liczb for- ratuje fakty, czasami ukrywa pod nimi czego nie chce, by znali inni. Liczby wia, ale także potrafią milczeć jak ka- nie czy ryby. Nic się pod tym wzglę- n nie zmieniło na świecie od wieków. złówek nieustannie liczy, mnoży, dzie- dodaje. O liczydłach wspomina już He- ot. John Napier wymyślił nie tylko lo- ytmę, ale także zmyślne rachunkowe bki, które miały nas uwolnić od męki awania na pamięć tabliczki mnożenia. cal spróbował skonstruować maszynę, ra za ludzi „miała” układać sumy. hyba najbliższy celu był jednak ze ystkich Polak — Abraham Stern. Jego zhaniczny „człowiek matematyczny” po- ni wykonywać bezbłędnie 4 działania awał radę nawet pierwiastkom. Ale po- l genialnego Polaka ukradł i opatento- i w carskim Petersburgu szwedzki inży- r, aferzysta Odhener i właśnie to on żany jest przez współczesnych za wyn- ac nowoczesnych maszyn matematycz- h. Polak — Abraham Stern został nato- ist dyrektorem szkoły rabinów...

Z raportu ekipy amerykańskich spe- cjalistów, którzy jesienią ubiegłego ro- ku bawili w Polsce. Oto co pisze Tho- mas Collier w „New York Times”: „Po- lacy mają takie osiągnięcia i zdolności w dziedzinie maszyn liczących, że gdy- by im starczyło środków i różnych ma- tych „śrubek” — mogliby bez trudu zalać swoimi maszynami elektronowymi całą zachodnią Europę, stając się dla nas groźnym i całkowicie realnym kon- kurentem. Byłem zdumiony oryginal- nością ich rozwiązań i horyzontami ich fachowców. Oni po prostu tryskają ta- lentem (they are flushing with talents and abilities) i myślę, że każda firma w USA mogłaby pozazdrościć Polakom takiej fabryki i takich specjalistów, ja- kich poznaliśmy w ELWRO. Polacy do- szli do zupełnie nowych rozwiązań w dziedzinie maszyn elektronowych i kto wie, czy to nie my powinniśmy zacząć kupować ich licencje”.

Dalszy ciąg na str. 3



Uwaga! Karnawał — to pułapka na mężczyzn

HALINA BATOROWICZ

ANDRZEJ DZIERŻANOWSKI

Nowa twarz przemysłu

Nowoczesność jest dzisiaj w cenie. Nowoczesność, i tylko ona napraw- dę się opłaca. Złotówka włożona dajmy na to w unowocześnienie maszy- ny już pracującej bądź w konstrukcję zupełnie nowej — przynosi w efekcie wielokrotnie później zyski.

Obecną 5-latkę nazywa- ją powszechnie „pięciolet- nym postępem technicznym i nowoczesnej produkcji”. W

planach rozwoju techniki w przemyśle główne miejsce i zajmie udoskonalanie pro- dukcji, rokujące największe

efekty ekonomiczne. Mówią o tym wyraźnie uchwały IV Plenum KC partii. Uchwały mówią, że w pier-

wszym rzędzie chodzi o uno- wocześnienie wyrobów i wprowadzenie nowych tech- nologii, a także o wprowa- dzenie do produkcji nowych wyrobów przy jednoczes- nym wycofywaniu wyrobów przestarzałych.

Pierwszy etap prac zwią- zanych z realizacją Uchwał zarówno ostatniego Zjazdu partii jak i czwartego Ple- num — jest już w zasadzie zakończony. W zakładach produkcyjnych odbyły się gospodarskie rozmowy, prze- dyskutowano zaproponowa- ny przez pion techniczny — plan postępu i moderniza- cji. Dyskutowano na zebra- niach organizacji partyj- nych i w kołach zakłado- wych NOT — wszędzie tam gdzie spodziewano się kon-

kretnych uwag. Wreszcie skorygowany i poprawiony program działania przedło- żono Konferencji Samorzą- du Robotniczego. Po zatwier- dzeniu przez KSR tenże pro- gram działania stał się dla zakładu pierwszą wersją programu rozwoju produk- cji. W programie powiedzia- no jasno: trzeba zmienić. Ale żeby zmieniać — trze- ba wiedzieć: co i kiedy. Dla tego wszystkie wyroby po- szerególnych fabryk ocenio- no pod względem nowocze- sności, kwalifikując je (te wyroby) do trzech grup: grupa „A” — wyroby na poziomie światowym, grupa „B” — na średnim poziomie technicznym, grupa „C” — produkty przestarzałe. Spośród wielu łódzkich

fabryk wybraliśmy trzy z ich przykładzie chcemy po- kazać jaką drogą będzie kroczył przemysł, dążąc do osiągnięcia światowego po- ziomu swoich wyrobów.

„STRZELCZYK”

Dokładny przegląd bieżą- cej produkcji w Zakładach im. Strzelczyka wykazał, iż do grupy „C” kwalifikuje się — 7 proc. wyrobów. Wśród wytwarzanych seryj- nie typów maszyn — trzy są przestarzałe, 12 typów repre-

Dalszy ciąg
na str. 4



Taszkientcie rozmowy prezydenta Pakistanu - Ayub Khana z premierem rządu Indii - Shastri prowadzone zarówno na płaszczyźnie dwustronnej, jak i przy udziale premiera Kosygin, występującego w roli mediatora, to główny punkt zainteresowania opinii światowej w ostatnich dniach. Było to zresztą zainteresowanie dwójakie: zarówno spodziewanym osłabieniem napięcia na linii: Delhi - Karaczi, jak i mediacyjnymi wysiłkami Związku Radzieckiego, który po raz pierwszy tak aktywnie pośredniczy w sporze między krajami, nie należącymi przecież do wspólnoty socjalistycznej.

„Już sam fakt - czytamy w komentarzu „Monde” - że spotkanie odbywa się - jest wielkim sukcesem dyplomacji radzieckiej”.

Również inne dzienniki nie mogą nie zauważyć, że Związkowi Radzieckiemu udało się rzecz bardzo trudną: doprowadzić do spotkania szlachejczyków dwóch stanów dwóch skłóconych stron, które jeszcze kilka miesięcy temu były w stanie wojny.

„W rzeczywistości - pisze np. „Neue Rhein Zeitung” - główną rolę w Taszkientcie odgrywa premier Kosygin jako gospodarz i jako pośrednik. To on pokazuje światowej opinii publicznej, jak bardzo Związek Radziecki stara się o zachowanie pokoju”.

Spodziewany przed rozmowami przez część prasy zachodniej „rychły impas”, pod naporem napływających z Taszkientu wiadomości musiał ustąpić „ostrożnemu optymizmowi”. Wypowiedzi rzeczników indyjskiego i pakistańskiego w chwili, gdy oddają komentarz do druku: „mamy powody do zadowolenia”, „przywódcy osiągnęli postęp” oraz prasy tych krajów: „atmosfera przejaśnia się”, „wyraźne oznaki odwilży”, „otwarte perspektywy” - musiały zmienić ton wypowiedzi publicystów zachodnich.

Jednocześnie zaczęto mówić o udanej „eskalacji” dyplomacji radzieckiej, której ważnym elementem jest właśnie Taszkient.

W podsklepie tych wypowiedzi jest chyba jeszcze coś więcej: kontrast do widowiska, jakie w sprawie Wietnamu krążącymi się trasami podróży dyplomatycznych swych wysłanników, zorganizował Johnson.

Do Wietnamu powrócimy za chwilę, przed tym jednak - zgodnie z obietnicą z ub. tygodnia - przeniesmy się do Hawajów, gdzie od 3 stycznia obraduje konferencja trzech kontynentów (Przy okazji przepraszamy za sprawą drukarskiego chochlika: zamiast - „rozpoczęła się 3 bm. konferencja”, ukazało się: „rozpoczęła się 3 konferencja”).

Przypominamy, że idea zwołania takiej konferencji zrodziła się już właściwie w roku 1955, podczas obrad w Bandungu. Jednak konkretną formę przybrała ona dopiero w 6 lat później, kiedy to na propozycję Fidel Castro, by przedstawiciele trzech kontynentów spotkali się w Hawajach, komitet wykonawczy Konferencji So-

darności oficjalnie wyraził zgodę. Wkrótce potem w Kairze zebrał się komitet przygotowawczy konferencji i rozpoczęto prace.

W chwili, kiedy Czytelnik weźmie do ręki „Odgłosy”, znane już będą wyniki konferencji.

Co na niej rozważano?

Problemy walki przeciwko imperializmowi, kolonializmowi i jego nowej formie, możliwości przeciwdziałania polityce tworzenia paktów militarnych i baz wojskowych, rozpowszechnienia broni nuklearnej... Już z tego wyliczenia głównych zagadnień konferencji widać, że najczęstszym adresem były Stany Zjednoczone. One też - pisze prasa północnoamerykańska - „stały się workiem treningowym dla delegacji z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, uprawiających gwałtowną kampanię non stop przeciwko USA”.

Nie był to jednak sport, a następnym waszyngtońskiej polityki na wspomnianych trzech kontynentach, która wyraża się „doktryną Johnsona” i „eskalacją” w Wietnamie.

I tak powróciliśmy do zagadnienia wietnamskiego.

Mińszy tydzień utrzymywał zainteresowanie waszyngtońską ofensywą. Z ciekawych jej momentów wymienić trzeba przede wszystkim pismo ambasadora Goldberga do sekretarza generalnego ONZ - U Thanta, które rozreklamowane zostało jako „podsumowanie kroków pokojowych” Stanów Zjednoczonych.

Pismo nie zawiera żadnych wyraźnych wniosków co do rezultatów dotychczasowych sondażi, lecz zasługuje na uwagę z trzech powodów: części przekonania, że dyplomatyczna aktywność USA nie jest wyłącznie operacją reklamową, sugerowania, choć bardzo ogólnikowo, możliwości wycofania w tym celu forum ONZ oraz zapewnienia alibi na wypadek, gdyby USA wznowiły bombardowanie północy i wzmogły operacje wojskowe w Wietnamie.

Zdania co do istotnych celów tych wszystkich zabiegów Waszyngtonu w dalszym ciągu są podzielone. Jedni twierdzą, że jest to wynik rachunku, jaki przeprowadził Johnson, dochodząc do wniosku, że np. z bombardowania północy trzeba się wycofać, jako że jest ono militarnie, politycznie i psychologicznie nieopłacalne, inni - że po prostu przystąpiło do intensyfikacji operacji wojskowych, łącznie ze stosowaniem na szerszą skalę wojny gazowej.

Ci ostatni nie bez racji zauważają, że prawdziwej dyplomacji nie uprawia się przy głośnych fanfarach.

O przygotowaniach USA do wzmożenia działań wojennych mówi również oświadczenie Frontu Wyzwolenia Wietnamu pld.

W ostatnich dniach liczne komentarze wywołała w prasie światowej wizyta Szelepina w Hanoi. Mimo różnego ich tonu przeważa opinia, że jest ona przejawem radzieckiej aktywności, jaka z nową siłą wystąpiła z początkiem bieżącego roku.

„Misja Szelepina - czytamy np. w „The Guardian” - ma znacznie bardziej pokojowy charakter, niż sugeruje to duży w niej udział wojskowych...”

W. SLAWSKI

P.S. Już po napisaniu tego komentarza nadeszły z Taszkientu dwie wiadomości: o wspólnym oświadczeniu obu rokowujących stron, które zapowiada przywrócenie normalnych, pokojowych stosunków między Indią i Pakistanem oraz druga bolesna - o nagłej śmierci na atak serca - premiera Shastri.

Kronika TYGODNIA

W Hawanie konferencja solidarności narodów trzech kontynentów zmanifestowała charakter zdeklarowanie anty amerykański. W trakcie jej trwania jednak dąży o sobie znacząco rozbieżności nurtujące współczesny ruch robotniczy. Wystąpienie delegata chińskiego, pisze prasa północnoamerykańska - „stały się workiem treningowym dla delegacji z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, uprawiających gwałtowną kampanię non stop przeciwko USA”.

Na kontynencie afrykańskim zachodzą ważne zmiany polityczne wyrażające się w kolejnych zamachach stanu, dokonywanych przez wojsko. Po Kongo, Dahomeju, Republice Środkowo-Afrykańskiej armia objęła władzę w Górnej Wolecie. Korespondent PAP red. Kapuściński pisze, iż w związku z gwałtownym pogorszeniem się sytuacji gospodarczej w wielu krajach afrykańskich problemy władzy będą w Afryce rozstrzygane coraz częściej na terenie kaszar. Stopniowe przejmowanie władzy przez wojskowych działa jednak na korzyść reakcji i konserwatyzmu.

Ukazujący się w Düsseldorfie tygodnik „Deutsche Volkszeitung” wyraża przekonanie, że nowy, ekonomiczny system planowania i zarządzania wprowadzony w NRD przyniesie ważne, pozytywne efekty. W roku ubiegłym, zdaniem tygodnika, NRD osiągnęła nie notowany dotychczas przyrost produkcji oraz wszędzie odczuwaną poprawę stopy życiowej.

W 1965 roku spłaciłmy wszystkie zobowiązania wobec zagranicy i staliśmy się państwem bez długów - stwierdził w wywiadzie prasowym wicepremier ChRL Czen I.

W polityce nie da się rozwiązać wszystkich problemów, Czasem wystarczy, gdy się je zagada. ROGER PEYREFITTE pisarz

Australijski lekarz-fizjolog badający skutki palenia tytoniu doszedł do wniosku, iż papierosy sporządzone przez palaczy bezpośrednio z liści tytoniu są dla organizmu mniej szkodliwe aniżeli papierosy produkcyjne fabrycznej. Temperatura palenia tytoniu w papierosach produkcyjnych dochodzi do 840 stopni C. w tej temperaturze niektóre chemikalia znajdujące się w tytoniu przekształcają się w substancje podobne do tych, które wywołują raka płuc.

W organie KC KPCZ „Zivot Strany” opublikowany został artykuł podający krytykę działalność wychodzą-

ych w CSRS czasopism kulturalnych, w tym tygodników „Literarni Noviny” i „Kulturny Zivot”, ukazujące się w masowych nakładach. Źródłem negatywnych zjawisk w krytyce, w literaturze i w działalności niektórych czasopism kulturalnych - pisze organ KC KPCZ, szukać należy w lekceważeniu istnienia walki ideologicznej i częstym uleganiu iluzjom o możliwości pokojowego współistnienia sprzecznych ideologii.

Rzecznik delegacji indyjskiej określił rolę premiera Kosygin w czasie konferencji w Taszkientcie, jako bardzo ważną, bardzo właściwą, nacechowaną ostrożnością, a przy tym bardzo konstruktywną i zmierzającą do skiero-



Wojna lądowa w Azji

wania konferencji taszkientkiej do pomysłu jej zakończenia.

W ciągu 11 miesięcy 1965 roku Jugosławia odwiedziła zagranicznych, 7 milionów 768 tysięcy, wobec 4 milionów w roku 1964.

Po ustąpieniu przed rokiem, ze stanowiska doradcy w Białym Domu, historyk Arthur M. Schlesinger otrzymał list od prezydenta Johnsona o następującej treści: „Drogi Arthurze, świat akademicki stanie się bogatszy z Twoim powrotem”. Istotnie, Schlesinger za publikowanie swej pracy „Tysiąc dni J. F. Kennedy'ego” otrzymał honorarium w wysokości około 500 tysięcy dolarów, przyjmując zaś katedrę na uniwersytecie w Nowym Jorku powiększa swe dochody o 100 tysięcy dolarów rocznie. Jako doradca prezydenta Schlesinger posiadał uposażenie 30.000 dolarów rocznie.

W nowym rządzie federalnym zasiada kanclerz, 21 ministrów oraz robak, który go draży. WOLFGANG STAMMBERGER deputowany SPD

Dokonując przeglądu radzieckich i amerykańskich osiągnięć w badaniu przestrzeni kosmicznej kosmonauta Herman Titov powiedział w wywiadzie noworocznym: „Nadszedł czas, aby pomyśleć o skonstruowaniu pojazdów kosmicznych wyposażonych w skrzydła. W momencie wkraczania w gestę warstwy atmosfery, skrzydła te byłyby przez pojazd chowane, w drodze powrotnej natomiast wysuwane. Owe skrzydła i konieczny w tym wypadku system sterowniczy sprawiałoby, że statek poruszałby się podobnie jak samolot z możliwością miękkiego lądowania w wybranym miejscu powierzchni ziemi.

Doradca w Departamencie Stanu do spraw afrykańskich, Williams, czasami odbywał podróże dyplomatyczne wraz z żoną. Niestety, uważa pani Nancy Williams po takich podróżach nie zawsze miesiący się w ramach przyjętych obyczajów dyplomatycznych. Cesarzowi Haile Selassie, według żony amerykańskiego dyplomaty, potrzebny jest dobry szef propagandy. „On nie wie, jak jest niepopularny we własnym narco-

„dzle”. W wywiadzie dla pani Williams powiód o swej ostatniej wizycie klinice doktora Alberta Seltzera. „Dr Schweitzer jest znienawidzony przez Ganyczyków, że maż jako ofny przedstawiciel SB Zjednoczonych, nie śmie odwiedzić. Lecz to wstnie w porównaniu z tym mnie się zdarzyło. To straszne. Nigdy nie w tam bardziej okropnego sea, gdzie kozy, psy, m kurczęta robią tak strahaś i taki nieporządek rzeczywiście nie lubi i ców i myślę, że więcej rych tam zmarło niż w uratowanych”.

Chłód sprzyja powodzeniu. W chłodnej atmosferze osiąga się największe. GEORGE F. KENNAN dyplomata

Departament Stanu zapowiedział wydanie p-

CZYŻBY ZMIERZCH POMYSŁOWOŚCI?

Przeżytałem ostatnio w prasie, że pewien gentleman z Łodzi miasta, imieniem Arkadiusz przepił poważną część pensji, zawarł po pijanemu podejrzaną znajomości, a w rezultacie został pobity i okradziony. Autor też smutnej notki wyciąga następujące wnioski: nie należy chodzić „na jednego” z całą pensją, czyli inaczej - należy chodzić, ale nie z całą. Drugi wniosek również natury dydaktyczno-wychowawczej sprawdza się do uwagi, że nie jest bezpiecznie zawierać podejrzaną znajomości i przyjmować propozycje odwiedzania melin z wódka po pijanemu. Słusznie, takie rzeczy trzeba robić na trzeźwo, wtedy jest bezpiecznie.

Jakież to w gruncie rzeczy mało pomysłowe! Czytam szereg pism - wszędzie to samo, szaryzma, brak wyobraźni. Pan Wiesław G. kierowca w przedsiębiorstwie transportowym nadużywał pojazdu służbowego dla przewożenia skradzionych towarów do sklepów, księgowy, główny ma się rozumieć, zarobił przy budowie osiedla mieszkaniowego kilka milionów razem z kumpłami, wykryto aferę pieprzową, która polegała na kradzieży pieprzu całkiem nieskomplikowaną metodą, po prostu złodzieje weszli do wagonu kolejowego i wzięli sobie indyjski pieprz. Pan Edward S. z Warszawy otworzył sobie biuro podań, pisywał za grabieżnie i za niemalą opłatą obiecywał te podanka szybko popychać, gdzie trzeba. Jakież to stare i oklepane!

W Rzeszowie bardzo młodzi ludzie kradli samochody, ale tylko na kilka godzin, ot, żeby sobie pojeździć. Stary kawał z tymi samochodami, już ma dawno siwą brodę, a kończy się z reguły dobrze, na skutecznej interwencji milicji. I tak bez końca. Pan Wiesław, kierownik Ośrodka Krzewienia Wiedzy Praktycznej w Sielebach, wykonując swoje obowiązki służbowe, znaczy - krzewiąc wiedzę praktyczną - zorganizował sobie na boku około 100 tysięcy złotych, ale wszystko skończyło się dobrze, na skutecznej interwencji milicji. Co jakiś czas podają gazety dalsze wyroki w nie kończących się procesach aferzystów miesięcznych, ale wszystko zdaje się kończyć dobrze, na rynku ma się pojawić nowy gatunek kiełbasy, tzw. skandynawskiej, po 58 złotych za kilogram. Szwedzi ponoć przepadają za tą kiełbasą, Norwegowie i Duńczycy chyba też,

więc pewnie niejedną kronikę kryminalną na ten temat poznamy. Tylko, że takie to jakieś oklepane, pozabawione pomysłowości, wdzięku a nawet romantyzmu.

Nie to, co w takich na przykład Stanach Zjednoczonych, gdzie odbywa się właśnie sensacyjny proces niejakiego pana Foxa, który wykradał tajemnicę produkcji jednego przedsiębiorstwa i sprzedawał drugiemu. Podobno w Szwajcarii i Japonii nieźle prosperują szkoły, które kształcą szpiegów przemysłowych. Gdyby coś podobnego u nas było... proszę tylko pomyśleć - wytwórnia żyłetek „Gerlach” wykrada tajemnicę produkcji wytwórni żyłetek - „Rawa Lux”, spółdzielnia praży „Nasze jutro”, która produkuje rewelacyjny środek do wywabiania plam „Znikoplam”, wykrada spółdzielni praży „Sursum Corda” tajemnicę produkcji rewelacyjnego „Plamozniku”... Iza się w oku kreję na sama myśl.

A może młodzież, nowe kadry? Niestety, Ośrodek Badań Penitencjarnych Ministerstwa Sprawiedliwości smutne ma dla nas wiadomości. Ostatnie badania ankietowe wśród młodocianych przestępców wykazały, że prawie wszyscy, którzy odbyli państwową karę za odwykową, bardzo sobie chwalały zwykłą pracę z pensją na pierwszego.

Honor ratuje tylko Rybicki, który - o czym z przyjemnością zawiadamiam - czuje się znacznie lepiej. On jeden okazał się inny, nowoczesny, skradł bowiem promieniotwórczy izotop „Iryd 172” i nikt nie wie, dlaczego to zrobił, gdzie miał kupca na coś podobnego. I właśnie ten romantyczny charakter kradzieży, a może nawet bezinteresowny, sprawił, że szanowny przywódczyniel otaezany jest serdeczną opieką ze strony okradzionego przedsiębiorstwa. Wiem, wiem, każde przedsiębiorstwo byłoby dumne z takiego złodzieja. Tylko, że naśladowców brak, jedna jaskółka wiosny nie robi.

Wiesław G. Kierowca

ODRA pisze WIERSZE

Dalszy ciąg ze str. 1

Jest rok 1965. Zmysłem wyobraźni powołujesz się na stanowisko jakiegoś wielkiego handlowego przedsiębiorstwa. Jego sklepy i magazyny kryją w sobie 250 tys. rozmaitych wyrobów rozrzuconych w różnych składach. Żeby dobrze gospodarzyć i handlować, trzeba codziennie wysłać do kilkudziesięciu z dala od siebie położonych miejscowości, rozmaite towary. Oczywiście, jak to bywa w handlu, liczba przesyłek, ich asortyment i wielkość jest w każdym przypadku odmienna. Pytanie: ilu zaopatrzeniowców, rachmistrzów zatrudnisz do sprawnego i bezwzględnie rozwiązywania tej szarady?

Pomoc i odpowiedź przyszła od kilku-nastu młodych dziewcząt. Było wśród nich kilka reparatorów pończoch, 4 zredukowane kompresją etatów modelki, 5 midinetek oraz kilka absolwentek wrocławskiego Technikum Elektrycznego. To wszystko. Przemaszmasz... Rachunek trzeba jeszcze uzupełnić starymi budynkami dawnej cukrowni, której na wpół zrujnowane hale miały nagle awansować do roli sal wytwórczych jednej z niewielu w Europie fabryk maszyn matematycznych. Słowem — wrocławskie ELWRO.

Był rok 1959. Nikt wtedy na dobrą sprawę nie wierzył, że nowy beniaminek polskiego przemysłu zechce niedługo wskoczyć do światowej elektronicznej czołówki.

— Z uczennicami od krawca mamy gonić Anglików czy Francuzów — mówiono nawet w resorcie.

— Zaprogramowaliśmy, że będziemy robić w ELWRO, to — powiedział mi inżynier Tarkowski — czego mistrzami byli już od dawna Amerykanie, Rosjanie i Anglicy, a Niemcy z Bundesrepubliką po prostu „zdręfilii” i poszli na kupno amerykańskiej licencji...

Nie od razu Kraków zbudowano. To poprzedziło zna nie tylko młoda załoga wrocławskiego ELWRO. Nim elektronicy w Związku Radzieckim zbudowali sławnego „Kijewa”, który w ciągu niespełna godziny — co było wtedy rekordem światowym — potrafił zaprojektować najlepszą w danych warunkach geograficznych, ekonomicznych i technicznych 600-kilometrową trasę linii kolejowej — wcześniej były jeszcze radzieckie maszyny liczące typu „BSEM” oraz „Kriстал”, a chyba także — tak samo jak w ELWRO — przełączniki do telewizorów.

Niemal dokładnie 6 lat temu pierwsza szesnastka wrocławskich dziewcząt stanęła do pracy w pierwszej polskiej fabryce maszyn elektronicznych. Na taśmach montażowych wrocławskiej fabryki zamiast jednak „mózgów” liczących jak błyskawica znalazły się proste urządzenia — wyłączniki do telewizorów. Nie oryginalnego. To było abecadło. Sylabizowaniem były następne wyroby — tzw. kanelowce.

Idę przez nowoczesne hale, które kłocą się z urbanistycznymi pozostałościami dawnej cukrowni. Na taśmach montażowych jakieś wymyślne urządzenia, których przeznaczenia nie potrafię nawet odgadnąć. Przy taśmach — młode i ładne wrocławianki. Modna fryzura, szyc i manieure. Ten ostatni jest nawet obowiązkowy. Bo jakże grzebać w pamięci, nawet maszyn, zaniedbanymi paluszkami, choćby to była pamięć ferrytowa?

Na Politechnice Śląskiej w Gliwicach istnieje jedyny, jak do tej pory, w Polsce, Wydział Automatyki i Przemysłu. Pod tą nazwą kryje się placówka kształcąca fachowców, dla których praktyczne zastosowanie cybernetyki, maszyn liczących i wszelkiego rodzaju maszyn mądrych jak ludzie, będzie w przyszłości chlebem codziennym. W Łodzi działa specjalny ośrodek przetwarzania danych przy pomocy maszyn matematycznych, który służy potrzebom krajowego przemysłu lekkiego. Na Uniwersytecie Łódzkim, w Katedrze Geometrii pracuje również zespół wybitnych specjalistów zajmujących się problemami cybernetyki, a niedawno skonstrował on „Smoka” — zwierzątko cybernetyczne, dla którego pożywieniem jest światło.

Młode i bardzo twarzowe jest ELWRO. Przeciętna wieku załogi wynosi tutaj zaledwie 24 lata, a w przypadku kadry kierowniczej niewiele ponad 30 lat. Co wrzeci elwrowiec ukończył szkołę średnią, co piąty — wyższą uczelnię techniczną. Głównym dostawcą kadry inżyniersko-technicznej jest Politechnika Wrocławska. Średnio biorąc, co roku 150 dyplomantów PW znajduje w ELWRO dla siebie etaty. A midinetki i modelki? Zrobiły przynajmniej maturę...

Liczby te są miarą wzrostu elektronicznego noworodka polskiego przemysłu. Jeszcze sześć lat temu było elwrowców niewiele ponad 100. W roku 1965 ponad 2000. Wszystko to — w dobre „etaty” zatrudnienia.

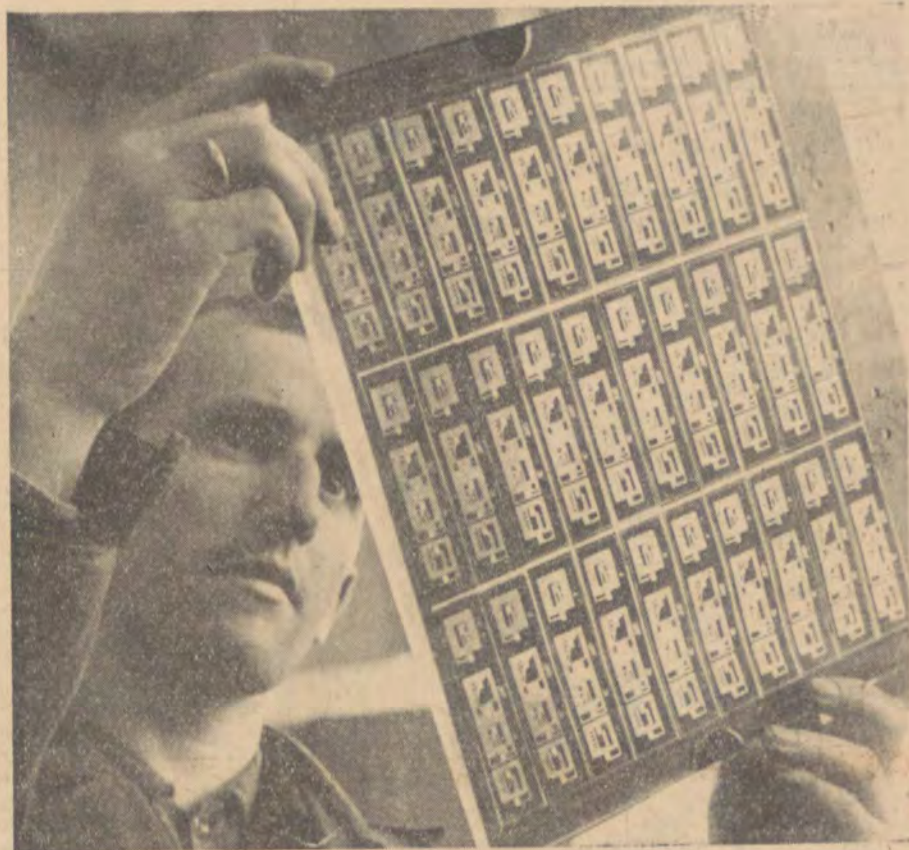
Liczby te są miarą wzrostu także i polskiej specjalności — budowy maszyn matematycznych.

Nie dziwnego. Mamy tę smykałkę począwszy już od Abrahama Sterna, który, jak już się tutaj mówiło, skończył karierę w szkole rabinów. Ale wróćmy do czasów współczesnych. Import jednej tylko maszyny liczącej typu ZUSE, której producentem jest Niemiecka Republika Federalna, kosztuje



110 tys. dolarów. Bagatela! A przecież bez nowoczesnych maszyn matematycznych nie można nawet marzyć o sprawnym funkcjonowaniu i kontrolowaniu działalności wielkich kombinatów przemysłowych, nie ma mowy o przeprowadzeniu wielu naukowych badań.

Zarobki dla wielosetmilionowej rzeszy polskiego kolejniactwa, górnictwa i energetyki oblicza już dziś mózg elektroniczny, wyręczając ferrytowa pamięć armii księgowych w tradycyjnych zarętkawkach. Ale przecież to nie tylko to. Dokonanie wielkiego skoku przez polskie stocznie z pozycji wyjściowej 0 do 9 miejsca w świecie pod względem tonażu zbudowanych statków, zaliczenie się do ścisłej piątki największych eksporterów taboru pływającego, było w ogóle możliwe — gdyż wolno liczącemu człowiekowi wsparły swoimi elektrycznymi mózganiami prawie niemyślnie, szybkie jak błyskawica, maszyny.



Polska staje się eksporterem maszyn liczących. Pierwsze egzemplarze sprzedaliśmy w roku 1963 Węgrom. Tym najnowocześniejszym towarem handluje PHZ „Metronex”, a pod jego adresem plyną ostatnio oferty na najmłodszego dziecko polskiej cybernetyki — „ODRE-1003”, produkowaną przez wrocławskie zakłady ELWRO. W roku 1965 „Odry-1003” kupiły od nas między innymi Czechosłowacja, ZSRR, NRD, a ze sprzedaży polskich maszyn liczących uzyskaliśmy około 6 milionów złotych dewizowych.

Na taśmach montażowych ELWRO stoją rozmaite typy maszyn matematycznych. Choćby ZAM-2-GAMMA. Jest dziełem zespołu naukowców Instytutu Maszyn Matematycznych Polskiej Akademii Nauk, pracujących pod kierunkiem prof. dr Leona Łukaszewicza. Prototyp tego nowoczesnego polskiego mózgu elektronicznego zdał praktyczny egzamin, opracowując główne kierunki rozwoju produkcji, a także unowocześnienia walcowni hut „Warszawa”. Chodziło o dokładne określenie wielkości walcowni stali, pracochłonności i proporcji w tzw. wsadzie różnych gatunków stali. Popęplnienie nawet minimalnego błędów mogło kosztować gospodarke setki milionów złotych. Maszyna wywiązała się na piątkę. Chwała mądrej maszynie. Jej ferrytowej pamięci!

„Pamięć”, to prostokąt czegoś, co przypomina szkolny zeszyt. Tylko punkciki przypiętych tranzystorów, albo też sić transformatorów o wymiarach milimetrowych zdradzają, że to jest unerwienie mózgu.

— Czy wie pan, jak to działa?

— Ano właśnie.

— Zadanie dla maszyny wprowadzane jest na perforowanej taśmie. Taki „program” trafia do urządzenia czytającego, gdzie znaki dziurkowanego kodu wprowadzane są do pamięci „wewnętrznej”. Pamięć jest więc rodzajem notosu, w którym utrwalamy różne ciekawe i potrzebne nam wiadomości...

Ciekawe rzeczy. Maszyna ZAM-2-GAMMA, która uchodzi za najszybszą polską „cyfrowkę” jest równocześnie jedyną w krajach socjalistycznych maszyną matematyczną budowaną z autokodem SAKO, posiada pamięć ferrytowa, która rejestruje 16.384 tzw. słowa 36-bitowe, szybkość dodawania i odejmowania — 1000 obliczeń, mnożenia i dzielenia — 300 rachunków i średnią szybkość

pracy — 800 operacji. Wszystko to — W JEDNĄ SEKUNDĘ!

Kiedy pojedziesz do Wrocławia to w ELWRO pokażą ci przede wszystkim ich własne dziecko — maszynę matematyczną, która od początku do końca zrodziła się w dawnej cukrowni i wyszła spod rąk byłych midinetek i reparatorów pończoch — ODRE-1003.

Sypią tu o niej dane, jakby chodziło o „miskę”, kandydatkę wrocławskiego ELWRO do Grand Prix konkursu piękności:

— Wymiary — jak walizka: 160 x 130 x 60 cm. Wszystko oparte na tranzystorach. Pamięć rejestruje ponad 8000 słów 36-bitowych. W ciągu niespełna sekundy wykonuje 1500 dodawań lub odejmowań, średnia szybkość pracy 700 operacji w sekundę.

Taką właśnie wrocławską ODRE sprzedano do Burmy, gdzie kieruje i kontroluje pracę nowoczesnej cukrowni. Takimi maszynami elektronicznymi posługuje się Centralny Ośrodek Obrachunkowy PKO, a także Narodowy Bank Polski, gdzie również ferrytowa pamięć elektronicznego mózgu przełożono nad otówek i Liczydło buchalterskie. Daleko zasłaliśmy od Herodota i jego liczydła.

Krajowy przemysł woła o coraz to nowe maszyny matematyczne.

Wiedzą o tym w ELWRO. Toteż na ich taśmach montażowych spod wycianczonych palców b. midinetek a obecnie specjalistek z dziedziny elektroniki wychodzą nowe mózgi z wielkiej rodziny — ZAM-11, 21, 41 i 51. Myśli się także o tym, by już niedługo udoskonalili to najbardziej nowoczesne dziecko b. wrocławskiej cukrowni — ODRE-1003, zamienili ją w ODRE-1013 o jeszcze lepszej, sprawniejszej pamięci.

Mądre maszyny, maszyny, które prawie są już jak ludzie.

Podobno amerykańska „Calliope” napisała kiedyś, a raczej dała próbkę prozy, która miała wielkie wartości artystyczne: „Cienka warstwa śniegu bardzo rozległa, pokryła pole białej pszenicy, które bardzo się wzmocniło — przekłeta kopalinia leży pod nim... Jeden goźdik, zniszczony przez czas, jest jedyną ozdobą tej ponurej dekoracji. Całą dolinę oświetla pomarańczowy blask roku...”

To „Calliope”.

Gdyby chcieć, to i nasza ODRA mogłaby wysławiać ode. Ze swojej ferrytowej pamięci. Zapewne byłoby to strofy na cześć „cukrowni” i zdolnych paluszków wrocławskich krawcowych, które dziś grzebią w tranzystorach, budując matematyczne pamięci...

KRZYSZTOF POGORZELEC

20 LAT SFOS

Początki były więcej niż skromne. Na lutowy apel Krajowej Rady Narodowej, wzywający całe społeczeństwo polskie do wzięcia czynnego udziału w odbudowie stolicy, jako pierwszy odpowiedział Śląsk. Już w maju 1945 r. powstał w Katowicach Obywatelski Komitet Odbudowy Warszawy.

Przykład okazał się zaradliwy. W ciągu miesiąca na obszarze województwa śląs-

ko-dąbrowskiego działały już 74 komitety. Wnet podobne organizacje ujawniły się w Krakowie, Łodzi, Lublinie, rozprzestrzeniły się po całej Polsce. Te oddolne przejawy inicjatywy społecznej uzyskały ogólnokrajowe ramy organizacyjne. 1 września w oparciu o 1607 już istniejących komitetów i kół powstaje organizacja o nazwie Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy.

Jakkolwiek SFOS otrzymał metrykę z datą 1 września 1946 r. ma on wszelkie prawa, by za moment swego powstania uważać maj 1945 roku.

Album wydany właśnie w związku z dwudziestą rocznicą tej popularnej organizacji jest swego rodzaju sprawozdaniem — pokazuje bowiem, jak zostały wykorzystane fundusze, które ze skromnych złotówek rosły w miliony i miliardy, prze-

twarzały się w odbudowane zabytki, urządzenia kulturalne i oświatowe, pomniki przypominające „wielkie dni” naszej przeszłości oraz instytucje komunalne ułatwiające życie w teraźniejszości.

Wydaje się, że SFOS w swej dotychczasowej działalności zbyt mało uwagi poświęcał informowaniu społeczeństwa o użytkowaniu funduszy w skali krajowej. Wydany album w pewnym sensie uzupełnia tę lukę, ale jak może on dotrzeć do wszystkich komitetów i kół SFOS, skoro nakład jest znacznie mniejszy od ilości placówek? A przecież właśnie koła szkolne, koła zakładowe powinny mieć możliwość zaznajomienia się z ogólnokrajowym dorobkiem organizacji, która stała się niemal powszechną wśród ludzi pracy.

Przeglądanie ciekawie i

starannie opracowanego albumu prowadzi do szeregu krytycznych skojarzeń. Nie chodzi mi bynajmniej o szukanie przysłowiowej dziury w całym, lecz tylko o podzielenie się uwagami, które zapewne nasuną się także i innym.

Okazuje się bowiem, że włókiennicza Łódź, miasto bynajmniej nie najwyższych zarobków, bije na głowę stale od 1960 roku stolicę, jeśli chodzi o świadczenia na rzecz SFOS. Chciałoby się dla przykładu wspomnieć, że wpłaty Łodzi za 1961 rok prawie o 50 proc. przewyższyły wpłaty Warszawy. Sytuacja ta z małymi wahaniem w proporcjach utrzymuje się aż do ostatniego roku sprawozdawczego (1964).

Czyżby Komitet Stołeczny i warszawskie koła społeczne na laurach? A może potrzebny jest mały zastrzyk ożywiający? W tym wypad-

ku pomimo dysproporcji w stanowisku stolicy i prowincji Łódź gotowa jest do współzawodnictwa. Jak dotychczas od 1960 r. w meczu z Warszawą prowadziemy 5:0.

Redaktorzy albumu (Aleksy Czerwiński i Zofia Książek) skromnym petitem zaznaczyli, że zdjęcia „przedstawiają obiekty wzniesione bądź odbudowane całkowicie lub częściowo ze środków SFOS”.

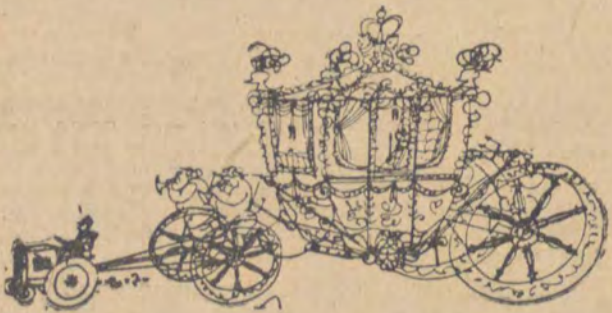
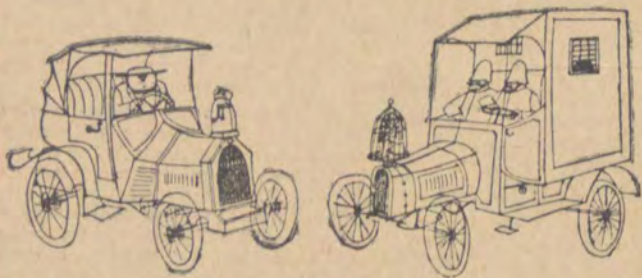
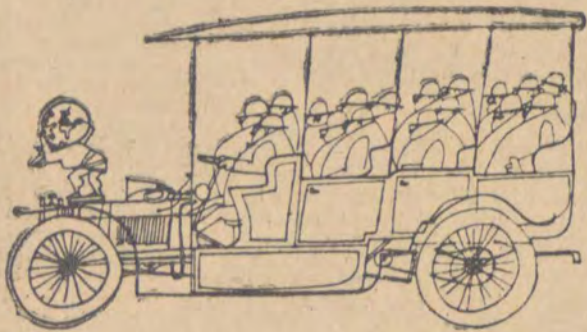
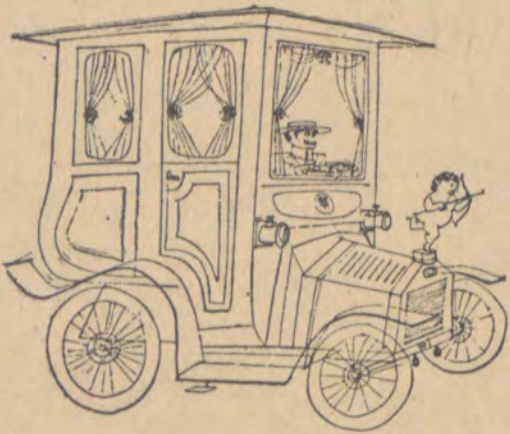
Nie każdy zwróci uwagę na parowierszową notkę, na tomiasz i ja i kilku znajomych, przeglądając album, natychmiast zgłaszało sprzeciw widząc fotografię łódzkiego pomnika Kościuszki. Przecież inicjatywa odbudowy pomnika była na wskroś łódzką inicjatywą społeczną. Na apel prasy przez długie tygodnie napływały dobrowolne składki od indywidualnych ofiarodawców,

urzędów i organizacji. Podobna sytuacja zaistniała chyba nie tylko z pomnikiem Kościuszki, jeśli chodzi o reprodukcje zamieszczone w albumie.

SFOS pomógł w ostatecznej realizacji niejednego społecznego zamierzenia. Lecz właśnie dlatego należało zaakcentować te fakty we wstępie do albumu, by uniknąć nieporozumień.

Omawiana publikacja służy w pełni na upowszechnienie, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej. Może bowiem stanowić poważną pomoc na lekcjach wiadomości o Polsce i świecie współczesnym. Ale biorąc pod uwagę niski nakład, czy oby dotrą albumy dwudziestolecia SFOS do kół szkolnych?

W. B.
*) SFOS 1945—1965 zebrał i opracował J. Kuryluk, redaktorzy: A. Czerwiński i Z. Książek, str. 228.



Nowa twarz przemysłu

Dalszy ciąg ze str. 1

zentuje średni poziom techniczny.

W roku 1970 „Strzelczyk” przewiduje seryjną produkcję dwunastu typów maszyn, z czego dziesięć typów — czyli 88 procent w grupie „A” i dwa typy — 12 procent — w grupie „B”. Do tego czasu wycofa się z produkcji wyrobów przestarzałych.

Zadania „Strzelczyka” ogromne, zwłaszcza jeśli chodzi o grupę „A”. Realizacja programu została rozłożona rozsądnie na poszczególne lata. Pomiędzy rokiem 1966 a 1970 zaprzestanie się produkcji dziesięciu typów maszyn. W zamian uruchomi się produkcję sześciu zupełnie nowych szlifierek, a niektóre typy obrabiarek za liczone w tej chwili do grupy „B” zmodernizuje tak, aby znalazły się w grupie „A”.

W dyskusjach nad nowoczesnością wiele miejsca poświęcono sprawie opracowania nowych technologii, gwarantujących wysoką klasę wyrobów. Ogromną wagę plan postępu technicznego przywiązuje do rozwoju zaplecza technicznego. Chodzi tu głównie o biuro konstrukcyjne. Stąd przecież ma brać początek nowoczesność. U „Strzelczyka” przewidują, że w najbliższym pięcioletniu liczba inżynierów wzrośnie blisko trzykrotnie, a techników dwukrotnie. Zakład dopuszcza ponad to możliwość „podparcia się” licencjami zagranicznymi. Z góry wiadomo jednak, że żadna firma nie pozbędzie się swoich najnowszych osiągnięć. W takiej sytuacji tylko dobra kadra konstruktorów, ludzi z dużym doświadczeniem fachowym będzie w stanie zakupioną maszynę zmodernizować, dopasować do naszych potrzeb.

Zamierzenia „Strzelczyka” są bardzo poważne. Ale ich pełna realizacja postawi zakład w rzędzie najnowocześniejszych. Przede wszystkim zaś — co jest niezmiernie ważne — nowoczesna produkcja u „Strzelczyka” zapewni prawidłowy rozwój przemysłu korzystającego z obrabiarek.

Aby jednak wysiłek załogi nie poszedł na marne warto przypomnieć: „Strzelczyk” zdany jest na usługi szeregu kooperantów — a ich wyroby pozostawiają często wiele do życzenia. Dało się to między innymi

zauważyć przy ocenie nowoczesności obecnej produkcji. Na wyniku oceny produkcji „Strzelczyka” zaważyła w dużej mierze jakość silników i aparatury elektrycznej, pasków klinowych, łożysk itp. — towarów „rodem” od kooperantów.

„ZEGARY”

W Łódzkiej Fabryce Zegarów do grupy „A” zaliczono 5 wyrobów, do grupy „B” — 10 wyrobów (a więc prawie 60 procent produkcji) i do grupy „C” — 1. W grupie „A” znalazły się: mechanizm zegara ściennego, który fabryka do starca odbiorcy bez obudowy i zegar radiowy do odbiornika „Kurant”. Obydwa wspomniane produkty są na poziomie klasy światowej, nie ustępują pod względem jakości wyrobom znanych firm szwajcarskich. Do grupy „B” zakwalifikowano cztery rodzaje szybkościomierzy samochodowych, zegar samochodowy sprężynowy oraz populärne budziki. Na taką a



nie inną ocenę tych ostatnich wpłynął wygląd zewnętrzny. Komisja uznała, że obudowa budzików jest niestaranna, zaznaczając jednocześnie, iż nowoczesność konstrukcji nie budzi żadnych zastrzeżeń.

W najbliższym czasie „Zegary” uruchomią produkcję dziesięciu nowych produktów (m. in. nowe szybkościomierze samochodowe, zegary samochodowe, trakometry, tachografy) — wszystkie w grupie „A”.

Znaczne starania fabryki będą szły w kierunku poprawy wyglądu zewnętrznego wyrobów, a więc — estetyki. Zamierza się na przykład wprowadzić jako wykończenie tak zwaną eloksylację, czyli złoczenie poszczególnych elementów budzików w obudowie z kolorowych tworzyw sztucznych.

W 1970 roku Fabryka Zegarów zamierza produkować 60 procent wyrobów w grupie „A”. Osiągnięcie takiego wskaźnika nowoczes-

ności wyrobów wymaga, podobnie jak u „Strzelczyka”, poważnego rozwoju zaplecza technicznego. Konieczne jest podwojenie aktualnej ilości inżynierów. Fabryka przewiduje stworzenie nowych i rozwój istniejących komórek. Myśli się między innymi o utworzeniu biura rozwoju techniki, które skupiałoby wszystkie laboratoria zakładowe oraz biura studiów i badania dobrej jakości wyrobów. Swoją zakres działania rozszerzy, mając odpowiednio zwiększone kadry — biuro konstrukcyjne i komórka informacji technicznej. Starając się pomyślnie rozwiązać te sprawy zakład wziął pod uwagę możliwość fundowania stypendiów dla studentów Politechniki. Myśli się też o kierowaniu techników z długoletnim stażem na studia wieczorowe.

Jeśli chodzi o wprowadzenie nowych technologii — „zegary” przewidują ściśle współpracę z placówkami naukowo-badawczymi. Im powierzono już do rozwiązania szereg tematów, z którymi zakład nie byłby w stanie uporać się samodzielnie. Chodzi między innymi o adaptację mechanizmów do „pracy” budzików w klimacie tropikalnym.

„Zegary” chcą zwiększyć produkcję eksportową. A propos: chyba warto uwzględnić postulaty załogi, dotyczące możliwości kontaktów łódzkich „Zegarów” z podobnymi firmami na świecie. W celach szkoleniowych!

„WIFAMA”

O tej fabryce tyle już ostatnio pisano, że chyba nie ma sensu wracać po raz tam któryś do szczegółów. Widzewska Fabryka Maszyn Włókienniczych — znana pod nazwą „Wifama”, znajduje się w sytuacji specyficznej. „Wifama” produkuje krosna oparte na licencji zakupionej w firmie „Saurer”. Przed kilkunastu laty, kiedy licencję kupowano, „Saurery” były „ostatnim krzykiem techniki” w tej dziedzinie przemysłu. Tak zwany „polski Saurer” różnił się trochę przydługą

Wśród typów maszyn produkowanych w „Wifamie” — dwie maszyny uznano za odbiegające znacznie od tego, co określa się mianem nowoczesności. W przyszłych latach „Wifama” zamierza zlikwidować grupę „C” i produkować dziewięć maszyn na poziomie technicznym najwyższym, a trzy — na średnim. Plany, jakie zakład otrzymał od swojego Zjednoczenia, są bardziej „na wyrost”: przewidują mianowicie wpro-

wienie do produkcji, już w roku przyszłym — trzynastu nowych maszyn, a w następnym — dwunastu. Między uchwałą Konferencji Samorządu Robotniczego w „Wifamie” a Zjednoczeniem Maszyn Włókienniczych istnieje więc rozbieżność. Ale w tym miejscu trzeba wyjaśnić, (to zresztą odnosi się nie tylko do „Wifamy”, ale także do „Strzelczyka”, „Zegarów” i wielu innych fabryk):

Propozycje Zjednoczenia, jak również dyskusje w czasie posiedzeń Konferencji Samorządów Robotniczych — stworzyły program działania, wskazały drogę dla uzyskania nowoczesnych wyrobów do roku 1970. Program działania bę-



dzie teraz rozpracowany w szczegółach (z terminami, z zasadami umów kooperacyjnych etc.), z określeniem środków realizacji (kadry, finanse, inwestycje itd.) i tak zatwierdzony, stanie się planem działania.

Programy postępu technicznego „Strzelczyka”, „Zegarów” i „Wifamy”, które w łącznej ilości prawie dwustu stron maszynopisu dokładnie „przestudiowaliśmy”, nie przewidują równomiernego rozwoju nowoczesnej produkcji. Patrząc na liczby w poszczególnych latach widzi się raczej raptowny skok, skok począwszy od roku 1968. Nie ma w tym jednakże żadnej nieprzewidywalności. Fabryki chcą w tej pięcioletniej produkcji wyroby na poziomie światowym, przygotowują się najpierw do tego nietatowego zadania. A więc: w pierwszych dwóch — trzech latach rozbudują zaplecze techniczne oraz opracują nowe metody konstrukcyjne i technologiczne.

HALINA BATOROWICZ
ANDRZEJ
DZIERŻANOWSKI

Książki nadesłane

- Manuel Rojas — SYN ZŁODZIEJA, Czytelnik, cena zł 26.
- Karol O. Borchardt — ZNACZY KAPITAN, W. Morskie, cena zł 40.
- Jan Parandowski — WRZEŚNIOWA NOCY, Iskry, cena zł 10.
- Stanisław Pagaczewski — KROPLE GŁOGU, WL, cena zł 10.
- Henryk Jachimowski — IDE PO DNIĘ RZEKI, Iskry, cena zł 10.
- Hans Backe — Z FIZYKA ZA PAN BRAT, Iskry, cena zł 45.

Nie będą siadali w czapkach przy stole

Dym, muzyka, odgłos upadających kart. Pod ścianą siedzi trzech chłopców z niebieskimi tarczami na rękawach. Na środku małego pokoju — bilardowy stół.

Tłok. Blondyn pewnie uderza w bile. Na żyłastym przedramieniu tatuaż przedstawiający nagą kobietę. Chłopak w błuczecze frotte oparty o futrynę liczy: 105, 106, 107. Dwóch innych zakłada się. O wino. Trzeci przecina złączone ręce. Wietrzy popijawę. Liczą 108, 109, 110, 111... Triumf na szerokiej twarzy. Wychodzą.

Blondyn uderza kijem o sufit. Wie co robi. Kij nie zsunie się z billa.

2.

Wchodzę do drugiej sali. Dziewczyny ładnie ubrane. Przy ćwiczącej orkiestrze podryguje szczipła blondynka o rozbieganych oczach. Piosenkarka. Pytam: Jak trafiła pani do klubu? Odpowiada: kiedyś przyszedłam przypadkowo na próbę. Spróbowałam i tak się zaczęło. Lubię śpiewać piosenki wolne, z dobrym tekstem.

Pytam: Która z piosenek, albo piosenkarzy, jest dla pani wzorem.

Odpowiada: Przepadam za głosem Ireney Santor.

- A pani chciałaby zrobić karierę?
- Chciałabym, ale w sposób uczciwy.
- A co pani powie o pracy klubu?
- Za dużo przychodzi tu takich, którzy szukają tylko dachu nad głową. A jeżeli już przyszli to trzeba pomyśleć, jak ich pozyskać. Na razie jak pan widzi siedzą przy stołach i ziewają.
- Pracuje pani?
- Tak. Jestem — chwila wahanie — szwaczką w zakładzie dziewiarskim „Feniks”.
- Lubi pani Widzew?
- Bardzo!
- Chłopca pani ma?
- Tak.
- Lubi go pani?
- Czy można nie lubić lata.

3.

— Nie na ręce! Na nogę, patrz na nogę!

Strofowany gitarzysta wchodzi w dobry rytm. Jacek gra na gitarze elektrycznej. — Dobrze grasz — mówię do Jacka. — To po ojcu — odpowiada Jacek. — Ojciec gra jeszcze na skrzypcach, pianinie i trąbce. Do filharmonii nie poszedł, bo oczy ma słabe. Panie, ojciec, niejednego po szkole by wykosł. Utalentowany! — U ojca się uczysz? — A jak. Wie pan, Kocham muzykę. Gitarę za 2900 kupiliśmy z bratem. Te dwie gitary też są prywatne. Wzmocniacz też nasz. Zakładowa jest tylko perkusja. Gramy gratis, dla przyjemności. Niech tańcza. — Umiesz czytać nuty? — Sylabizuję. Jak mamy trudniejszy kawałek, to tata nam pomaga. Przesłuchujemy taśmy i płyty. — Dziewczynę masz? — Ba... — Ładna? — Pan z nią rozmawiał. — Kiedy wesele? — Z tym jeszcze trochę poczekam. Mu-

PRZYCZYNEK DO PROCESU BEATYFIKACYJNEGO

1 września 1939 r. wojska hitlerowskie zaatakowały Polskę. Pius XII, śledząc uważnie rozwój wydarzeń politycznych stanął teraz w obliczu konieczności podjęcia ważkich decyzji: przedstawiciel dyplomatyczny „arekatolickiej” Polski błagał o interwencję papieską, domagali się jej Francuzi i Anglicy. Pius XII otoczony germanofilskimi doradcami ograniczył się do modłów w kaplicy Loterańskiej, później wraz ze swą niemiecką gosposią-zakonnica odmawiał wspólnie brewiarz. Tak minął pierwszy dzień drugiej wojny światowej.

O godzinie 5.30 10 maja 1940 roku niemieckie czolgi bez wypowiedzenia wojny przekroczyły granice Belgii, Holandii i Luksemburga. Lotnictwo niemieckie bombardowało bezbronne miasta, zabijając kobiety i dzieci. Zwycięski Wehrmacht krwią i ogniem przerażał pokojowe państwa Europy Zachodniej. W tym samym dniu o godzinie 9.30 poseł Francji przy stolicy apostolskiej, François Charles-Roux, wybrał się na audiencję u papieża. I w imieniu swego rządu — a także w imieniu całej ludzkości, prosił by Ojciec Święty potępił oficjalnie hitlerowską agresję. Papież wysłuchał dyplomatę, gdy Francuz mówił o okrucieństwach niemieckiego lotnictwa, wydawało się, że Pius XII odmawia brewiarz, że się modli. Następnie uzyskali posłuchanie przedstawiciele Belgii, W. Brytanii, a także specjalny wysłannik prezydenta Ameryki. Wszyscy prosili Ojca Świętego o protest, o wyraźne zajęcie stanowiska wobec coraz groźniejszego rozszerzania pożogi wojennej przez niemieckich podpalaczy.

„Jeżeli Kościół nosi chrześcijańską moralność i prawo międzynarodowe” — pisał brytyjski minister spraw zagranicznych lord Halifax — „jeśli wreszcie Kościół poczuwa się do odpowiedzialności za losy ludzkości, papież nie może milczeć dłużej w obliczu przestępstwa polityki Niemiec. Musi protestować!”

Powyższy list oświadczył przekazał papieżowi poseł brytyjski przy Watykanie, Osborne. Dyplomatycznymi kanałami dotarła do niego tuż przed audiencją wiadomość, że watykański sekretariat stanu już przygotował dokumenty potępiające niemiecką agresję. Miały to być:

■ przeznaczony do publikacji w „Osservatore Romano” komunikat sekretarza stanu Maglione oburzonego brutalnością hitlerowskiej agresji. W komunikacie mówiono się iż „sympatia stolicy apostolskiej jest po stronie pokojowych narodów, których międzynarodowe prawa zostały w brutalny sposób podeptane przez agresora”;

■ list papieski do kardynałów, sekretarzy stanu, w którym Pius XII potępiał „brutalny gwałt zadany małym, pracowitym i pokojowym narodem, atakowanym bez powodu na oczach całego świata”.

Oba te dokumenty nigdy jednak nie ujrzały światła dziennego. Gotowe do publikacji odpisy na zawieszonych w tajnych archiwach sekretariatu papieskiego, Kardynałowie z watykańskiego sekretariatu stanu nie kryją, że to Pius XII, po długich medytacjach, nie zezwolił na ich opublikowanie.

Archiwa mają jednak to do siebie, iż przed jej ujawnianiem swoją zawartość. Poczytany tygodnik zachodniemiecki „Der Spiegel” przyniósł wiadomość, że ukazała się kolejna edycja materiałów archiwalnych stolicy apostolskiej dotyczących drugiej wojny światowej. Jej pełny tytuł: „Le Saint Siege et la guerre en Europe”, Mars 1939 — Aout 1940”. Librairie Editrice Vaticana 1965; 556 stron, 5000 lirów.

Tom wydany przez watykańskich historyków, jezuitów Pierre Blet (Francuza), Włocha Angelo Martini i Niemca Burkharda Schneidera zawiera dokumenty dotyczące pierwszego okresu pontyfikatu Piusa XII. Lamie dotychczasowej watykańskiej tradycji, która zezwalała na ujawnianie dokumentów archiwalnych dopiero po upływie stu lat, edycja ta, jak mówi się powszechnie w kołach watykańskich, została zainicjowana przez najbliższego współpracownika Piusa XII — byłego kardynała Montini, obecnego papieża Pawła VI. Chodziło tu oczywiście o próbę rehabilitacji Piusa XII w obliczu zapowiedzianego procesu beatyfikacyjnego. Jak wiadomo, opinia tego germanofilskiego papieża na całym świecie jest jednoznaczna, na Zachodzie przyczynił się do tego m. in. i wstrząsający w swej wymowie dramat Hochhutha, w którym została ukazana antyhumanitarna i prohitlerowska rola Piusa XII przemilczającego wszystkie zbrodnie faszyzmu w imię swych machiawelistycznych kon-

cepcji politycznych. Niestety, publikacja wydaje się przeczyć intencjom jej autorów. Zbiór 379 publicznych mów, listów, memoranda i pism Piusa XII z roku 1939 świadczy dobitnie o tym, że papież wbrew radom swych włoskich współpracowników nie opublikował ani słowa przeciw narastającej agresji hitlerowskiej. Ze zbiorów i tajnych notatek dowiadujemy się wielu drastycznych szczegółów dotyczących gry politycznej Watykanu w owym okresie.

I tak, gdy paryski poseł Stanów Zjednoczonych Bullit domagał się od nuncjusza papieskiego Valeri z rucenia ekskomunikacji na Mussoliniego i Hitlera za bestialstwa jakich dopuszczały się Niemcy hitlerowskie, Watykan polecił swemu paryskiemu przedstawicielowi nie przyjmować do wiadomości postulatów Bullita pod pretekstem — (!) „iż nie jest nawet pewne czy Hitler w ogóle był ochrzczony...”

Zamiast ekskomunikacji Pius XII wystosował wówczas nie mówiące telegamy do królowej Wilhelminy, księżnej Charlotty luksemburskiej i innych koronowanych głów krajów zaatakowanych przez Niemcy. W telegramach tych papież przesyłał swoje błogosławieństwo i zachętę do wytrwania w ciężkich chwilach.

Sekretarz Kongregacji watykańskiej do spraw wielkiej wagi, Monsignore Tardini — wiec na pewno osoba wiarygodna i nie skłonna do krytyki Ojca Świętego — w prowadzonych wówczas rozmowach dyplomatycznych stwierdził, iż telegramy te miały za zadanie powstrzymać antyhitlerowską akcję dyplomatyczną alianckich przedstawicieli przy stolicy apostolskiej. Alianci uważali jednak iż właśnie Watykan jest moralnie zobowiązany do potępienia faszyzmu. W Paryżu następnego dnia kardynał Maglione raz jeszcze musiał wysłuchać przedstawiciela Francji, który teraz są swój sformułował już ostrzeżenie: „Ojciec Święty wykazuje mało zrozumienia dla sprawy pokoju i dla krwawiących narodów”.

Ale i tym razem odpowiedzialną na poczynania dyplomatyczne aliantów było milczenie Watykanu. Jednocześnie Pius XII wezwał na posłuchanie posła włoskiego przy Watykanie Dino Alfieri, i w serdecznej rozmowie zwrócił jego uwagę, iż w telegramach, jakie skierował do „pobożnych, jacy się znaleźli na obszarach objętych wojną” nie było ani jednego słowa wymierzonego przeciw Niemcom (dosłowny cytat z raportu Alfieriego).

Wśród dokumentów opublikowanych w omawianym tomie znalazł się jeszcze i nieznaną opinią publicznej protokół, o którym korespondent mediolański „Corriere della Sera” pisze, iż „przyprawia czytelnika o osłupienie”. Dotyczy on audiencji udzielonej jednemu z największych przestępców wojennych, skazanemu na śmierć w Norymbierdze, hitlerowskiemu ministrowi spraw zagranicznych, Ribbentropowi. Audiencja miała miejsce 11 marca 1940 roku. Trwała 70 minut, w czasie których omówiono sytuację europejską, świetnie znana papieżowi z relacji watykańskich przedstawicieli, rezydujących w okupowanych przez hitlerowców stolicach.

Audiencja zaczęła się od „utrzymanej w duchu żarliwości katolickiej” wypowiedzi Piusa XII. Papież uznał za stosowne w obliczu zbroczonych krwią Europy mówić do jednego z najokrutniejszych śpiących o swej miłości dla niemieckiego narodu i niemieckiej kultury. Następnie wyprzedzając jakiegokolwiek pytania Ribbentropa Pius XII zapewnił, iż w swoim orędziu do wiernych wydanym na Boże Narodzenie 1939 roku wspominając „mały naród”, (ofiary agresji) miał na myśli nie Polskę lecz Finlandię.

Po audiencji Tardini zanotował:

„W kuluarach mówi się, że Ribbentrop był nerwowy i niespokojny i nie oczekiwał po tej audiencji niczego dobrego. Wyszedł jednak od papieża z miną nadzwyczaj zadowoloną”.

Sekretarz stanu Maglione dodaje:

„Papież już od dawna myślał nad tym jak wyrazić swe pełne zrozumienie dla Niemiec i jak przekazać swe postanowienie doprowadzenia do trwałego porozumienia z Berlinem”. Tyle ujawniają nam nowe opublikowane dokumenty: dla nas Polaków nie są one taką sensacją, jak dla historyków zachodnioeuropejskich. I tak na przykład turyńska gazeta „Stampa” w komentarzu poświęconym publikacji Watykanu stwierdza melancholijnie:

„O Pacellim (nazwisko rodowe Piusa XII) można powiedzieć dużo dobrego. Niestety, da się o nim powiedzieć tyle samo złego”.

Obroty RZECZY

Lasery
na
dzwonnicach
czyli
romantyzm 63

Czerwony promień wysyłany przez laser gazowy płynie nad rzeką Moskwa, stadiem na Łuznikach, i trafia w okno budynku przy placu Zubowskim, gdzie umieszczono paraboliczne zwierciadło odbijające fale; opis pejzażu drugiej połowy naszego stulecia; pejzażu z laserem. I czyż nie działa on na naszą wyobraźnię? Chodzi o eksperyment zainstalowania w Moskwie dwóch linii telefonicznych opartych na laserze. Podobno nadzwyczajnie eliminują zakłócenia: telefon bez trząsków i szumów, to aż nieswojo, głos słychać, jak z sąsiedniego pokoju. Każda wiązka może pomieścić jednocześnie kilkadziesiąt tysięcy (tak) rozmów telefonicznych, chociaż pobór mocy w nadajniku nie przekracza mocy żaróweczki w latarce kieszonkowej.

Dzwonnice cerkiewne. Samo to słowo pobudza fantazję. U każdego inaczej: mnie się z tym kojarzy na przykład portret Rublowa, pędzla Ilii Glazunowa: bizantyjska twarz starca, dzwonnica, szare niebo z rojem czarnych ptaków. A może tam nie było dzwonnicy, tylko moja fantazja ją wpięła? Ale czarne ptaki były na pewno. Nie o to jednak chodzi: komentator „Pravdy” Orlov napisał, że elektrycy wykorzystali m. in. kopuły cerkiewne, aby z nich prowadzić eksperymenty laserowe z programem telewizyjnym. Lasery na dzwonnicach! Dzwonnica np. Wasyla Błażennego jako stacja nadawcza lasera: ja nie widzę w tym sprzeczności, to raczej „arka przymierza między dawnymi a nowymi laty”.

Koegzystencja wieków ludzkiej kultury. Koegzystencja techniki ze sztuką.

Jedną z czechosłowackich nagród młodej literatury zdobył młody biolog, zresztą chyba Polak z pochodzenia, za tomik wierszy do których natchnieniem była biologia, genetyka, procesy znane owemu człowiekowi z jego pracy zawodowej. Nie czytałem, nie wiem, dobra poezja, czy nie. Rozumiem jednak, że człowiekowi o wrażliwości artystycznej może nie wystarczać dreszcz, który go przetrząsa tylko wskutek samego faktu odkrycia naukowego, że pozostaje w nim jakaś nadwyżka emocjonalna, która, jeśli ten człowiek ma po temu talent, może się wyrazić o twórczości pozanaukowej, w sztuce. A zresztą: czy uczonej i artysta nie łączą się czasem w jednej osobie? Infield w swych pamiętnikach, szczególnie we fragmentach o

pracy z Einsteinem; wiele myśli poświęca trosce obu wielkich fizyków o estetyczny kształt ich koncepcji. Zeby pojmować współczesne zjawiska fizyki subatomowej, trzeba mieć trochę wyobraźnię poety. Jeden z biofizyków porównał proces mitozy, podziału komórki, do dworskiego baletu, a docent Baier pierwszy to sfilmował, (co będzie zaliczone na konto polskiej nauki). Widziałem ten film i zbudził on we mnie nie tylko sam podziw, ale i wzruszenie, jakie wywołuje dzieło sztuki. Kiedyś jedno z pism zamieściło obok siebie zdjęcie mikrostruktur metali i reprodukcje abstrakcjonistów i kazalo zgadywać, co jest co. Trudno było. Technicy i artyści doszli do tego samego rezultatu niezależnie od siebie i wychodzą na to, że abstrakcjonizm jest właściwie realistyczny. Ci, co patrząc na dzieło abstrakcjonisty mówią: to nie istnieje, mają po prostu zawężone pole obserwacji. Człowiek sięga bowiem do takich nowych obszarów, gdzie występują inne zupełnie formy, niż w naszym makroswiecie.

A swoja drogą: laser telefoniczny. Już. Kto by pomyślał. Butelkę lejdecką, pierwszy kondensator elektryczności (z okazji której Mickiewicz wzniósł pierwszy w poezji polskiej toast „wiwat elektryczność”) dzieliło od pierwszej elektrowni dzielnicowej 137 lat. Maszynę parową Watta od linii kolejowej Stephensa 43 lata. Prawie 30 lat pierwszy samochód od pierwszej taśmy samochodowej Forda. Od utrzymania radu przez małżonków Curie do pierwszego eksperymentalnego cyklotronu minęło 28 lat, do pierwszego reaktora w skali technicznej, 40 lat, do wybuchu pierwszej bomby jądrowej 43 lata; a do uruchomienia pierwszej elektrowni jądrowej 52 lata (inaczej: 12 lat od reaktora jądrowego do jądrowej elektrowni).

A teraz tempo drugiej rewolucji przemysłowej: od pierwszego spuntka do pierwszego pojazdu z człowiekiem: 4 lata, do pierwszego wyścia ze statku w przestrzeń kosmiczną: 6 lat, do pierwszego spotkania statków w Kosmosie: 6 lat. I to, wyłączony niebezpieczny moment nieodpalenia rakiety „Gemini 6”, właściwie bezawaryjnie. Podczas kiedy oderwanie się od ziemi przy pomocy samolotu kosztowało człowieka wiele oliar, pierwsi lotnicy spadali jak ulętki, a każdy miał śmierć jakby z góry pisaną. Więc postęp jest geometryczny.

Największą karierę zrobił chyba jednak właśnie laser. Już w 3 lata po dokonaniu wynalazku przez Amerykanina Maimana (1960) laser ze szpał sprawozdań naukowych przeszedł na stronie ogłoszeń. Kto kupi nasz acypraktyczny laser? Laserowe hybrydy mnożą się dziś, w szóstym roku pracy zawodowej, jak grzyby po deszczu; od łączności do chirurgii. I w fotografice także. Opracowano już metodę fotografowania przy pomocy promienia laserowego przedmiotów w ten sposób, że dają one wrażenie wielowymiarowości, plastyczności. Nieoczekiwana możliwość przed dziedzianami (film, telewizja), które mają dostarczyć przeżywe artystycznych. I znowu wracamy do punktu wyjścia: łączności i powinowactw między techniką a sztuką.

BELIAL

szę mieć więcej pieniędzy. Nie chcę być ciężarem dla rodziców.

4.

Pod samym dachem mały pokój. Na drzwiach wizytówka — Kierownik klubu. Drzwi zamknięte na przysłowiowe cztery spusty. Roland Włuka — to znany na terenie Łodzi działacz kulturalno-oświatowy. Całym sercem oddany ruchowi amatorskiemu. Obecnie kierownik klubu przyfabrycznego Widzewskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. 1 Maja.

Kierownika po długich poszukiwaniach znalazłem w „ciemni”. Prędko zamknąłem drzwi. Przy kierowniku gromadka chłopców.

— Przejdźmy do kawiarni — mówi — a wy chłopcy dokończcie wywoływanie.

— Nie boi się pan ich samych zostać, mogą popsuć narzędzia.

Kierownik popatrzył na mnie z pobłażaniem.

— Mam do nich zaufanie, a poza tym są zrecznijsi ode mnie.

Siadamy przy stoliku. Do sali wkracza trzech rostrych chłopaków. Jeden z czapka na głowie.

— Zdejmij czapkę — zwraca się do niego kierownik. Chłopak z ociąganiem, jakby miał rękę z ołowiu, ściąga czapkę. Włosy przydługie, opadające na kołnier marynarki. Podobny chłopak parę miesięcy temu, gdy mu zwróciłem uwagę, że jest nietrzeźwy i w delikatny sposób poprosiłem, by opuścił klub — spowodował bójkę. Zdarza się, że pod stolikiem odbijają ćwiartkę i wypijają. Staram się to wszystko jakoś ujarzmić, organizując koła zainteresowań. Gdy tu przyszedłem, zastałem, mówiąc znaną metaforą — gotłe ściany. W tej chwili w klubie działają dwa zespoły muzyczne, rozrywkowy i big-beatowy. W zespołach grają ludzie różnych zawodów. Ślusarz, technik, stolarz, przedziałnik.

Przy szkole zakładowej organizujemy lokalne konkursy recytatorskie, ściany

naszej największej sali także nie próżnują. Niedawno widzieliśmy na nich wystawę prac Leny Kowalewicz, Tadeusza Sprusiaka, a obecnie gościmy malarstwo Józefa Skrobińskiego.

Mamy i swoich rodzimych malarzy. Z wyróżniających się prac dzieci w wieku od 7 do 14 lat, malujących w kółku plastycznym, wybraliśmy najciekawsze i zorganizowaliśmy wystawę podzieloną na trzy tematy — „Pierwszy Maj w oczach dziecka”, „Dzień Matki” i „Człowiek w kosmosie”. Wernisaż wywołał wiele zaciętych dyskusji.

Zespół bridge'a nie ma zorganizowanych dni, ale i on oddziałuje wychowawczo na młodzież. Posiadamy również jeden z najciekawszych przekładów księgozbiorów wyrażający się liczbą 10.000 tomów. Biblioteka utrzymuje żywy kontakt z Oddziałem Związku Literatów Polskich, organizując wieczory autorskie łódzkich pisarzy. Jedną z ciekawszych form pracy Biblioteki jest dyskusyjny zespół czytelniczy. Problemów wychowaw-

czych mamy sporo, ale przecież stykamy się z żywymi ludźmi, którzy często u siebie w domu nie przestrzegają żadnych zasad. Jesteśmy małym trybem kultury, przez który przechodzą nieraz z dużym oporem, ale jeżeli już przejdą, to nie siadają przy stole w czapkach na głowie. Wiem, że to niedużo. Od tego jednak zaczynamy.

5.

Teraz mogę się do tego przyznać. Bałem się. Przyszło ich nadszpiegowanie dużo. Siedzieli porozwierani. Niekiedy pa trzeli na mnie jak na pajaca. Otworzyłem tę cienutką książeczkę z moimi wierszami i zacząłem czytać. Po czterdziestu minutach jeden z tych wrogich, jak mi się wydawało, chłopaków z Widzewa, powiedział: Wzruszył mnie ten wiersz. Czy mógłby Pan jeszcze raz przeczytać. Przeczytałem. Nastąpiła długa, szczerza cisza.

Romania

(fragment powieści przygotowywanej do druku)

Wspominałem już bodaj poprzednio, iż we wsi naszej zamieszkuje dość dużo ludzi niezwykłych. Nie jestem oczywiście aż tak zarozumiały, abym sądził, że nieprzeciętni ludzie wybrali sobie na miejsce zamieszkania właśnie naszą wieś. Raczej sądzę, iż ludzi takich nie brakuje i w Koniskowoli, i w Łapach, i w Wólce Gołębkiej i w wielu innych wioskach i przysiółkach. Bieda w tym, iż ich jeszcze nie odkryto, siedzą sobie spokojnie i ani mru-mru. Ale przecież i do nich dobierze się kiedyś w dobrą czy złą godzinę jakiś skryba, i ich niezwykle dzieje zaczynają opisywać niezwykłym, szukający tematu pisarze. Na razie jednak ciągnę rzecz o naszej miłej wiosce.

Włec na przykład Aniela Gładka, matka naszego sołtysa. Z wyglądu, zdawałoby się, zwyczajna, niepozorna kobieta. Wszystko na niej siwe: spódnica, zapaseczka, krzaczaste brwi nad swymi oczami, cera też jakaś szara, ziemista. Taką cerą mają prawie wszystkie starsze kobiety w naszej gromadzie. Włec portrecik — nie szczególnego. Ale spróbujcie z tą kobietą porozmawiać, jeśli oczywiście zechce was pogawędka zaszczyścić. Ho, ho. Dwa tomy po dwadzieścia arkuszy każdy.

A ja niestety zaledwie kilkanaście wierszy. Czas i akcja poganiają. W rękach Anieli Gładkiej, niech tylko czegoś dotknie, wszystko staje się niezwykle, ważne, nabiera zasadniczego znaczenia. Na przykład dzwonek. Owszem i w innych wsiach miały ludzie dzwonek loretanśkie, i w innych dzwoniły ognis matrony polskie przed burzą z różnym, rozumie się skutkiem. Ale naszej Anieli dzwonek, pono zakupiony przez znakomitą osobę w Lourdes, jest symboliczny, odegrał i odgrywa wciąż nie małą rolę w dziejach wsi. Kiedy we wrześniu 1939 oddział niemiecki wkroczył do naszej gromady, Aniela wybiegła na ganek i jąta przeraźliwie, jęknienie dzwonić, jak przed każdym nieszczęściem. Stała sobie na tym ganeczku ocienionym winem i malwami i dzwoniła, dzwoniła, szepcząc odpowiednie modlitwy i wpatrując się rozszereżonymi oczyma w maszerujący oddział żołnierzy Wehrmachtu. Wreszcie jadący otwartym samochodem oficerowie, zafascynowani niezwykle widokiem, zatrzymali wóz. Najstarszy spośród nich zakrzyknął, aby podeszła. Gładka potrasnęła przecząco głową i dzwoniła nadal. Głośno, przeraźliwie jęczał niepozorny dzwoneczek. Oficer zdenerwował się, zażądał tłumacza. Zjawił się syn Gładkiej, późniejszy sołtys, ten sam, który uczęszczał na niby do seminarium duchownego.

— Co jest z tą wiedźmą, dlaczego dzwoni? — wyrzucił z siebie oficer.

Młody Gładki spojrzal ze strachem na matkę, gdzieby się wazył jej słówko, powiedzieć, trzymała całą rodzinę w garści, że ani pisać, i, jakajak się wydukał w słusznym mniemaniu, że mama i tak tych słów nie rozumie:

— Sie klingt... eee... weil sie will beheren deutsche Offizieren...

Purpurowa twarz Niemca zlagodniała. Wyrzucił rękę, potem przyłożył ją do daszka, zatrzymał kolumnę żołnierzy, wygłosił do niej kilkanaście zdań, kazał sфотографować dzwoniącą Gładką, jej dom i wreszcie na wydartej z polowego notesu kartce napisał własnoręcznie: „Wieś ta powinna być do końca wojny zwolniona od wszelkich powinności za niezwykle gościnne przyjęcie, zgotowane przez nią niemieckim żołnierzom i za okazaną czolobitność oficerom Wehrmachtu. Hans von Willenberg, oberst”.

Dokument ten odegrał niemala rolę w późniejszych latach i uchronił naszą wioskę od wielu kataklizmów. Stara Gładka dopiero pod koniec wojny dowiedziała się o cygaństwie swego syna. Nie odzywała się do niego z tego powodu dobrych kilka tygodni — tak się ugiął przed szwabem, tak nie mieć twarzy ni honoru, wstyd — ale później doszła do wniosku, że dzwoneczek jednak zrobił swoje i jeszcze więcej wierzyła w jego moc niezwykłą.

W kilka lat później opowiadaliśmy te historyjki oficerom radzieckim: bawili się setnie. A że stara Gładka jest mistrzem nad mistrzami w dziedzinie kulinarnej, oficer radziecki wycalaował jej policzki i ręce, a pod koniec biesiady zapytał:

— I odkuda takaja zabrawszyna w etoj malej dieriewni? I chrabraja i powar zamiesztajnyj. Wy gdzie uczilis etago iskusztwa?

Gładka, która sztuki kulinarnej uczyła się u kucharza dworskiego, odpowiada skromnie:

— U mego państwa — mając oczywiście na myśli Radziwiłłów. Oficer radziecki usłyszawszy słowo „państwo”, znał je już doskonale — jakże? wszystko w tym kraju jest państwowe — wpadł w zachwyt. — Słusznie — zawołał, klepiąc po łobacie Gładką — państwo ludowe zapewnia swoim obywatelom wszechstronny rozwój. I w dziedzinie kulinarnej też uzyskujecie teraz wspaniałe rezultaty. Wy, sama, obywatelko, jesteście tego najlepszym przykładem.

Gładka nie rozumiała z tej przemowy ani słowa.

— I czego się ten biedaczyna tak ucieszył? — dziwiła się. — Nigdy chyba nie rozumieł tych ludzi radzieckich. Niby pomstują na księżat i hrabiów, zwalczają ich, a jak przyjdzie co do czego, jak na ten przykład zakosztują książęcej kuchni, wpadają w zachwyt i gotowi są człowiekowi dać medal za propagowanie pańskiego jadła.

Wróćmy jednak do dzwoneczka z Lourdes. Mimo ogromnego postępu technicznego, mimo olbrzymich przemian, jakie za-

szły w naszej wsi w ciągu lat dwudziestu, dzwonek ten bynajmniej nie powędrował do lamusa. Wciąż spełnia określona funkcję, zwłaszcza w wyjątkowych, skomplikowanych sytuacjach, jakie towarzyszą zwykle osobom i sprawom, spotykającym się na skrzyżowaniu dwóch epok. Nie tak dawno przecież, kiedy to było? — ależ tak przed czterema miesiącami w przeddzień Matki Boskiej Siewnej. Kilkanaście osób z naszej wsi usiłowało skłonić proboszcza, aby obszedł z procesją pola. Traktor traktorem, maszyny maszynami, ale nie zawadzi i Pana Boga o pośrednictwo poprosić. Rzadka te okazje w latach ostatnich postanowił wykorzystywać na swój sposób nasz proboszcz. Zażądał poważnego honorarium. — Pieć prawie lat — tłumaczył delegacji — gniewaliście Go swoim uborem, pieć lat znośliśmy cierpliwie wasze bezbożne praktyki, ale oto został na was Pan światło. Ujrzełiście jak na dloni swoje grzeszne postępowanie. I z czym przychodzie?

— Z patykiem w dwóch pięćsetach — brzmiała odpowiedź.

Proboszcz zamachał rękami.

— Kpicie, drodzy moi. Po tylu latach? I tyle pola piechotą obejść. Ostatnie słowo: trzy.

— Możemy proboszcza jawą albo osą przewieźć, nam to bez różnicy.

Książęc tylną okiem w stronę mówiącego.

— Powiadasz? Pono gdzieś w świecie i z samolotów świeca księża pola, ale u nas chyba jeszcze na takie ekstrawagancje za wcześnie — zafrasował się nie na żarty. — Bóg z wami, będzie dwa i pół i odwieziecie do domu jakimś godziwym pojazdem.

Prawde mówiąc stać było nie tylko delegacji, ale, uczelwszy uszy i lednego nawet przedstawiciela praktykujących barafian na to honorarium, ale z niewiadomych mi bliżej powodów, wieś stanęła deba. Nie damy, za drogo, niech ustapi i tene, i tede. Wreszcie do sprawy wtrąciła się Gładka. — Modlitwy — klarowała — sami sobie potrafimy odmówić, krzyży w gromadzie nie brak, a co się tyczy dzwonięcia, nikt i nie nie dorówna moiemu cudownemu dzwoneczkowi z Lourdes. I rze-czywiście. Procesja z chorągiewami, z krzyżami i z dzwoniem przeszła wszystkie prawie pola, nawet i nasz sekretarz gromadzki nie wytrzymał i też poprosił: „Załadzie, przedździecie się, bardzo jestem ciekawy, jakie to będą skutki takiej manifestacji świecko-religijnej”. Przeszaczerowaliśmy się więc i przez lewo, i przez przewodniczącego pole, Gładka dzwoniła nie-

Gładka odpiła łyk, spojrziała bystro.

— Myślicie, że wierze w te wasze obce słówka. Wtedy na procesji, jak zaczęliście zawodzić po łacinie, o małym się nie skre-cita ze śmiechu. Przecież wymyśliliście słowa na poczekaniu. Taką to była łacina, jak nie przymierzając...

... wasz dzwonek z Lourdes — wpadł jej w słowo Jenerał. Dacie głowę, że wasz dzwonek pochodzi z samego Lourdes?

— Głowy nie dam, ale...

— Wystarczy. Nie interesują mnie deta-le. Służę wam no i dobrze, no i na zdro-wie. Powiem wam tylko, że nie dzwoni-liście dobrze. Za wesoło wasz dzwoneczek terkotał, wydawało mi się niekiedy, że się zaśmiewa i z tych ludzi, i z mnie, i z was, i z samego, z przeproszeniem pro-boszcza.

Gładka zacisnęła usta.

— Ja tam za granicą nie byłam, nie umiem z dzwonięcia odgadnąć ludzkich myśli. Jak dzwonił tak dzwonił, dość, że ludzie byli kontenci, a Pan Bóg i Pani-enka Najświętsza też lubią od czasu do czasu jakaś odmianę. Może się i pośmiały i po-żartowali. Boczcie się na nas o to nie beda.

— I jak tak sadze. Włec do rzeczy.

— Co myślicie o Ignacym Fluku?

Szczoteczka nad górna wargą Jenerała uniosła się w niemym pytaniu.

— No, no, tylko nie udawajcie zdziwie-nia. Wiem wszystko. — Gładka potrasnę-ła groźnie swoim wielkim, wskazującym palcem przed nosem Jenerała. — Przyrze-kliście nieinterwencje naszej mafii.

— Mafii? — zdziwił się Jenerał.

— Nie rozumiecie tego słówka? Patrzaj-cie, a obcych języków zachciało mu się uczyć.

— Rozumiem rozumem, ale pierwszy raz słyszę, aby wasz syn należał do jakiejś klikki.

— Nie klikki, tylko mafii. A syna znam lepiej niż wy, wiem do czego zdolny.

— Taki znowu enfant terrible to on nie jest.

Gładka spojrzała groźnie.

— No mówię przecież: dobrze nam się żyje z naszym sołtysem, a że czasem lubi sobie nowswalloć, mój ty dobry Boże...

— Nie ciekawam waszej opinii. Sama wiem, jaki jest. Nie skrecajcie z drogi, mówcie otwarcie.

— O Fluku? Hm. Nie jest on z takich, co lubią chodzić przy dżwolu. Narowisty. I przy żłobie też długo nie ustoi.

— Przy jakim znowu żłobie?

— Rządowym czy gromadzkiem, c'est égal.



Frans Masereel „Moja ojczyzna” (drzeworyt).

starą Gładką doprowadzić do furii. Za-gadał szybko:

— To jest tak: my z wami, kumeczko, ludzie starej daty, dziś świat leci inaczej. Jak na przykład trzech gospodarzy buduje nowe domy, piękne wille, to i innych chetka bierze, ale bieda w tym, że nie wszyscy przecie mają na tę budowę środ-ki. Więc się zmagają jedni z drugimi: wy sobie ładnie—pięknie wille stawiaj-cie, pomożemy wam, ile tchu w pier-siach, ile desek w tartakach, ile cegiełek w cegielni. I pomagają sobie niebożeta, bo takie jest prawo ludzkie w gromadzie. A na koniec patrzy: zamiast trzech cztery wille kominami strzelają prosto w niebo. Komu z tego krzywda? Nikomu? Groma-da dumna, urzędniki się cieszą, bo im w statystykach i w kieszeniach przybyło. A co przy tym zarobią dziennikarze, foto-grafowie...

— Czekajcie — przerwała Gładka — przecież mój syn żadnej willy nie posta-wił. Ten dom stoi już chwalić Boga ze trzydziści lat, albo i więcej.

— Hm. Prawda. Ale obórka nowa jest? Jest. A stodoła? A maszyny?

— Brednie. Zarabia, gospodarke ma, po-żonie też wziął.

Jenerał zakaszlał, grzecznie przysionił dlonią usta.

— Ja przecież nie mówię, że wasz syn postawił chałupę. Tak tylko, w ogóle. Mo-że inni, na przykład Głabiński samochód kupił...

— Kupił, bo stopa życiowa na wsi się podniosła. Nie słyszycie, nie czytacie?

— Jakże? Dwie gazety prenumeruje, ty-godniki od deski do deski w naszym klu-bie czytam. Wszystko śledzę, wszystko wiem.

Gładka wsparła głowę na rękach, spoj-rzała z dołu na rozmówcę.

— Dobrze, że wszystko wiecie, ale nie tylko chyba z gazet. Według was, zmie-niło się w naszej gromadzie czy nie?

— Każdy to widzi gołym okiem.

— Ale wy sami, wy to widzicie?

— Przeciem nie ślepy i ślepoj czu-stwuliet czo waniajiet.

— Jenerale — Gładka podniosła palec.

— Zmieniło się, zmieniło się nie do po-znania. Ale przecież ludzie to nie rzeczy, nie maszyny, nie zmienicie ich w ciągu kilkunastu lat. A zresztą przy każdej zmianie zawsze jest okazja, żeby poskubać naiwnych. Nie wiecie, jak to idzie w życiu? Zapaleńcy aż piszcza z ucieshy, rwa się do każdej roboty, a inni, ostrożniejsi patrzy, słuchają i tylko kombinują, jakby tu co uszczknąć, bodaj kawaleczek i na czarna godzinę przychować. Że też, Gładka, w wa-szym wieku trzeba was tego uczyć.

Aniela poprawiła włosy, spojrziała prze-lotnie ponad głową Jenerała do wiszącego nad płytą kuchenną lustro.

— Co mi tam lata będziecie wypominać. Dziwny z was człowiek, ani rusz nie moż-na was skłonić do trzymania się tematu. Ciągłe jakieś niepotrzebne słówka musicie wstawiać.

Jenerał zachichotał.

— Niepotrzebne? Nauczyłem się tej szfu-ki w świecie. Na tym, kumosiu, polega dyplomacja. Ja i tak staram się z wami prosto z mostu. Słuchajcie, Jenerał pogła-dził swoją szczoteczkę, poprawił polny ma-rynarki, podciągnął spodnie i nagle z ca-łej siły grzmotnął się z upadku.

Ach, Aniello, nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak kojąco działa sama pani obec-ność na otoczenie...

Gładka słuchała z otwartymi ustami, co-fajac się lekko ze swoim zydzielkiem, prze-nosiła wzrok z Jenerała na lustro, raz i drugi dotknęła nawet dzwoneczka lore-tanśkiego, wreszcie odrzuciła w tył głowę i zaniosła się długim, nie pozabawionym załotności śmiechem.

— Ale z was... ale człowiek... nikt, nigdy, a tyle lat żyje, jeszcze mi takich komple-mentów nie brał.

JAN JANIAK

Tylko pamięć

Tylko pamięć istnieje
i słowo każde
napętnia protestem
ręce nasze
oblepia popiołem
i ziemię otwiera
gdy kamienie milczą

pamięć jest wówczas
gdy czerwień powraca
albo sen umiera
albo drzewa ciemne
przez równinę idą
drutem owinięte
a czasem pamięć
jest szukaniem twarzy

tylko pamięć istnieje
zeby w nas siebie ocalić
dla gestu jednego

Nie wiem
co oznacza
ptak
co oznacza
drzewo
co oznacza
kamień

podobno
to są archetypy
symbole

o wiele bardziej
interesuje mnie
twarz człowieka

starannie cerowana
od kilku lat
nie kruszy się
nie rozłamuje

czasem tylko
nad ranem
pękają szwy

ustannie, chłopcy wymachiwali chorągwie-mi, stary Burzyna niósł dostojnie krzyż. Jenerał intonował pieśni po łacinie, było OK. Tylko, że na końcu proboszcz pognie-wał się i na Gładką i na wszystkich uc-zestników procesji. Mówił pono z ambony na ten temat dwie godziny, coś tam wspo-minał i o odszczepieńcach, groził anatema. Straszyl. Jak to proboszcz. Ale nie z tego. Jeszcze nikt nie wygrał sporu z Gładką i — niech będzie złym prorokiem — ale tak mi się coś zdaje, że maluczko a nasz pro-boszczunio uderzy w pokorę i lada dzień zaszleści suknią duchowna na ganku soł-tysowym.

Tymczasem jednak na ganku tym wy-tupuje wojskowego marsza nasz Jenerał, który zjawił się właśnie nagłony wynikiła we wsi sytuacja, tudzież odręcznym posta-nieniem Anieli Gładkiej.

— Przejdźcie lepiej do letniej kuchni — zapraszała gościa — tam można porozma-wiać bez obawy. — A mnie wioś równo, ganz wurst — odparł wesoło nasz poliglo-ta i pomknął rażno do stojącego na ubo-czu samotnego budyneczku. Gładka podrep-tała za nim.

W letniej kuchni było przestronno, chłod-no i wyjątkowo czysto. Był to jeśli wolno się tak wyrazić o zwykłej kuchni, osobisty apartament Anieli. Nikt bez jej zgody nie miał prawa przekroczyć progu tego sank-tuarium. Zresztą ani w domu Gładkich, ani w całej wsi nie było śmialka, który poważyłby się naruszyć zarządzenie starej Gładkiej.

Usiedli sobie wygodnie na dwóch rzeź-bionych zydlach, podstawił stołeczek pod nogi, Gładka nalata do wysokich szklanek wina własnego wyrobu, a gdy odpili, po-wiedziała krótko:

— Nie czarujcie tylko obcymi językami. Sprawa poważna.

Jenerał poruszył się niespokojnie.

— Języki to nie wasz dzwonek: cudów w nich nie ma.

— Jenerale. — Gładka ściągnęła ostrze-gawczo krzaczaste brwi.

— Już nie będę, ale, jak Boga szczerze ko-cham, te obce słówka same mi się do-gęby pchają. Ehren-wort.

Gładka machnęła pogardliwie ręką, od-piła duży łyk, poruszyła szybko jak kró-lik wargami, wypaliła jednym tchem:

— Nie pozwolę, aby doszło w naszej wsi do skandalu. Jeszcze żyje, jeszcze się ru-szą — dotknęła dzwonka loretanśkiego, któ-ry stał obok na półce — za ostro się wziął do tego człowieka. Przecież się go chyba nie boją? Myślicie, że mają świnstwa na sumieniu, że narobili tu machlojek? Mój syn także?

— Gdzie drwa rabia, tam wióry leca a la guerre comme a la guerre — od-parł wymijająco Jenerał i odwrócił gwał-townie głowę, nie mogąc znieść palającego spojrzenia rozmówczyni.

— Ten znowu gęga — plasnęła w dło-nie Gładka. — Nikt tu was obcy nie stu-cha, nie wysilajcie się, proszę was, Jene-rale, mówcie do rzeczy. Przecież bywa-liście w świecie, życie przeżyliście.

Jenerał dotknął ręką szczoteczki.

— W Poczdamie bywało zagadał do mnie czy Truman czy choćby i sam Stalin, z początku to się nawet bałem, ręce mi tak latały, a i słowa żadnego nie mogłem wykrzusić, powtarzałem tylko w kółko „Niczego, Josif Wissarionowicz, wśio blago-pauczno, a czo kasajetsia germanow, pridawit' nada, na wielki wieki”. A Stalin, rozumiecie, chociaż stonczko komunistów całego świata, ale przecie, jak wasz syn, w seminarium duchownym bywał, wie co i jak, więc tylko odpowiadał basem: „Amin, amin”.

Gładka odepchnęła nogą stołeczek, trza-snęła pięścią, aż huknęło:

— Przystanieć bredzić, do ciężkiej Ani-elki. Jedna szklanezka uderzyła wam tak do głowy?

Jenerał przestraszył się. Nie daj Bóg

Z PERSPEKTYWY LAT CZTERDZIESTU

W 1928 r. została wydana nakładem Magistratu m. Łodzi piękna bibliofilska publikacja pod red. Jana Augustyniaka. Była to Księga Pamiątkowa Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi 1917-1927. We wstępie do Księgi, Przewodniczący Zarządu Biblioteki Smolik pisze o dziesięcioleciu jubilatce: „Rosnie ona z roku na rok, i z dnia na dzień korzysta z niej coraz liczniejszy zastęp tych, dla których wiedza, świadomość celu i środków pracy i walki o byt, jest już dziś koniecznością taką samą, jak sama praca i samo życie. Rozbudowując ją dalej, rozbudujemy zarazem wszerz i wwyż oświatę i uczyńmy z niej świadomych swych roli budowniczych nowej cywilizacji, lepszej niż ta, której schyłek przeżywamy”.

Ten charakterystyczny cytat narzuca nam się z nieodpartą siłą, gdy śledzimy dalsze dzieje tej zastawionej dla naszego miasta księżnicy. Ukazała się właśnie nakładem Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich praca Witolda Wierczorka pt. **Biblioteka Publiczna w Łodzi 1917-1957**.

Dzięki funduszom uzyskanym z Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej, Biblioteka im. L. Waryńskiego swoim wydawnictwem wzbogaciła tak ubogą dotychczas literaturę źródłową historii polskich bibliotek publicznych XX wieku.

Ta skromna publikacja stanowi nader ciekawą lekturę nie tylko dla bibliotekarzy i działaczy kulturalno-oświatowych, ale i dla wszystkich miłośników i przyjaciół Łodzi. Autor, zmarły przedwcześnie w 1961 roku, kustosz MBP, był absolwentem pierwszej w Polsce Katedry Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Łódzkiego. W ciągu trzynastoletniej bez mała pracy w Bibliotece pod doświadczonego zwierzchnictwem jej współorganizatora i pierwszego (przez 45 lat) kierownika, a następnie dyrektora, Jana Augustyniaka, związał się z nią uczuciowo. Poznał także dogłębnie mechanizm działania i życia tej placówki oraz dotarł do wszystkich materiałów związanych z jej powstaniem i rozwojem. W okresie poprzedzającym opracowanie czterdziestolecia MBP opublikował lub przygotował do druku 20 artykułów i biogramów, których poważną część odnosi się do spraw bibliotekarsko-czytelniczych Łodzi.

Pierwsze sześć rozdziałów publikacji obejmuje czas od pojawienia się najwcześniejszego w prasie łódzkiej (z roku 1897) artykułu nawołującego do utworzenia własnej biblioteki publicznej, aż do końcowych miesięcy 1939 r.

Zamykają się w nim kolejne formy działalności społecznej Towarzystwa Kultury Polskiej, Towarzystwa Krzewienia Oświaty i Towarzystwa Biblioteki Publicznej dla utworzenia zrzębów czytelnictwa w Łodzi, powstanie Biblioteki Publicznej w 1917 r., rola Magistratu w rozwoju bibliotek łódzkich, organizacja i wewnętrzna konsolidacja miejskiej sieci bibliotecznej, budowa specjalnego gmachu biblioteki. Trzy ostatnie rozdziały to dzieje trudnych lat odbudowy ze zniszczeń wojennych, ponownego kompletowania księgozbiorów, reaktywizacji sieci bibliotek miejskich i przemian głównych kierunków pracy dla upowszechnienia i pogłębienia czytelnictwa.

Na tle przejrzystej kompozycji materiału autor wypunktował w oparciu o odszukane i zbadane przekazy źródłowe wszystkie nieszlachetne, nowoczesne lub pionierskie na ówczesne stosunki rozwiąza-

wspólnym fachowym kierownictwem;

■ Otwarcie w 1922 r. dwóch pierwszych w Polsce publicznych bibliotek dla dzieci;

■ Współpracę Kierownika Biblioteki jako przyszłego użytkownika przy projektowaniu w 1937 nowoczesnego gmachu;

■ Akcje opiekuńcze Biblioteki w dwudziestolecie międzywojennym nad bibliotekami więziennymi, szpitalnymi, niektórymi społecznymi i w dzielnicami;

■ Intensywny rozwój form propagandowo - czytelniczych już w początkowym okresie Dwudziestolecia PRL;

■ Wprowadzenie przez Towarzystwo Biblioteki Publicznej stanowiska fachowego bibliotekarza zawodowego i zapoczątkowanie w roku 1917 zawodowej kadry bibliotekarskiej;

■ Uzyskanie przez Towarzystwo w roku 1916 tzw. egzemplarza obowiązkowego i ustalenie już wtedy jako pierwszoplanowego działu w księgozbiore przyszłej biblioteki działu nauk społeczno-politycznych. Zasada ta, honorowana do dzisiaj, okazała się jakże właściwa w odniesieniu do specyfiki robotniczego miasta o tradycjach walk rewolucyjnych. Podkreślenie nowatorskich poczynań bibliotecznych w Łodzi wyda-

biotek Publicznych jeszcze do roku 1935, podczas gdy w tym roku objęła budżetem miejskim łódzka sieć wypożyczalni liczyła już 7 placówek.

Gdy autor kończył swoją rozprawę, nieznaną były jeszcze badania nad najnowszymi dziejami społeczno-gospodarczymi miasta. Tym głównie tłumaczyć należy słabe z nimi powiązanie historii naszej czytelnictwa łódzkiego.

Praca Wierczorka w pierwotnych zamierzeniach stanowić miała tylko część zaprojektowanej niedosyć do skutku publikacji jubileuszowej na 40-lecie, stąd też wywodzi się świadomie zaplanowane jej ograniczenie tematyczne. Brak jest mianowicie analizy księgozbioru i jego wykorzystania oraz historii organizacji i czytelnictwa bezpośrednio podległych Bibliotece placówek sieci. Zainteresowani tym zagadnieniem czytelnicy znajdą je zapewne w tomie studiów, jakiego oczekiwać należy z okazji zbliżającego się 50-lecia Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Interesująca przedmowa obecnego dyrektora Biblioteki, p. Romana Kaczmarska kreśli sylwetkę autora i charakterystycznie sama pracę uwydatniając wszystkie jej

"KRADZIO NE WEE KENDY"

Odczuwamy wszyscy pewien niedosyt w dziedzinie reportażu, tej nieco uproszczonej formy poznania otaczającej nas rzeczywistości. Uproszczonej, gdyż nawet najlepszy reporter chcąc ująć omawiane zagadnienie możliwie najobszerniej, zmuszony zostaje do operowania wycinkami, fragmentami realiów.

„Kradzione weekendy” Utracckiego, to zbiór reportaży, owoc ponad rocznego pobytu w USA, a raczej ra jego populudniowym zachodzie — „Dziłkim Zachodzie”. Dotąd znaliśmy autora jako zapalonego alpinistę, który w swych reportażach otwierał przed czytelnikiem piękno i emocje tego szlachetnego sportu. Teraz ukazał się nam nieco inny człowiek — reporter usiłujący dokonać konfrontacji całej masy utartych pojęć i szablonów z faktycznym stanem rzeczy. Reporter polujący na rzeczy i zjawiska inne, dziwne, ciekawe — takie Europejczyk znajduje na każdym kroku. Nie jest to przy tym książka mająca ambicje stać się jakimś kompendium wiedzy, encyklopedią Zachodu. To lekko i ciekawie, a przy tym bardzo rzetelnie podane zapiski turysty wykorzystującego skrupulatnie każdy weekend na zwiedzanie kraju.

Stany Zjednoczone, poza różnicami w rzeźbie terenu, faunie i florze, przede wszystkim różnią się od europejskiej codzienności stylem, sposobem życia. Każde miasto to niewyczerpany teren obserwacji. Dzielnice czy okręgi miejskie różnią się między sobą nie tylko zabudową i jej bogactwem. To także różnice zamieszkujących je narodowości. To specyfika eleganckich przedmieść i najuboższych slumsów. To obyczaje i kultura ich mieszkańców. Nie bez kozery poświęcił autor aż siedem rozdziałów jednemu tylko miastu Los Angeles. Szczególnie ciekawie wypadła część poświęcona tamtejszemu skupisku tzw. beatników.

Jedną tylko podróż wzdłuż przeraźliwie długiego (ech, ta Piotrkowska!) Bulwaru Zachodzącego Słońca dostarcza tyle wrażeń, co komu innemu podróż dookoła świata. Trzeba tylko umieć patrzeć, a to autor potrafi znać komicie.

Nie mogło oczywiście zabraknąć tutaj wrażeń związanych z wspinaczką wysokogórską, i tuż jednak wyłaniają się nadzwyczaj oczywiście różnice. „Turystyka? Ow-

szem, w samochodzie. Wydatkowanie energii? Owszem, jeśli płacę. Na dziewięćdziesięciu Los Angeles, Sierra Club liczy 200 członków, w tym 40 alpinistów. To chyba najjaśniejszy dowód niechęci Amerykanów do zbytniego wysiłku”. I znakomita anegdota: „Do rangera podchodzi staniający się, spomiędzy z wysiłku mężczyzna — Powiedział pan, że do rzeki jest 8 mil w dół — wybelkotał z pretensją — a czemu mi pan nie powiedział, że z powrotem jest 8 mil w górę?”

„Dziłki Zachód”, to nie tylko miasta, góry, pustynie i pola uprawne. To także historia ukazująca się niemal na każdym kroku. Ta najdawniejsza — skamieniały pień araukarii sprzed 170.000.000 lat, ślady życia sprzed wielu ich tysięcy — i zupełnie niedawna — całkowicie opuszczone miasteczka sprzed lat z górą dwudziestu. To epopeja sławnej gorączki złota w Kalifornii i jeszcze okrutniejsza historia pierwszych gospodarzy tej ziemi. Tych, którzy witali przybywających do Nowego Świata osadników — historia Indian. Ich losom, kulturze i obecnemu życiu poświęca autor sporo uwagi. Przy okazji ciekawostka — motywy góralskie, przejęte prawdopodobnie od polskich emigrantów,

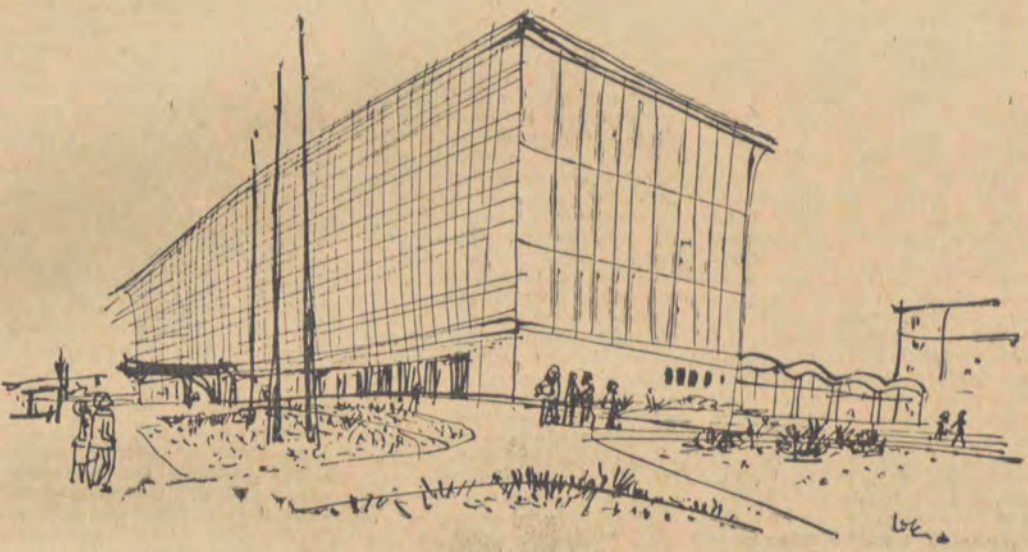


Lech Utraccki w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

znaleźć można w wyrobach Navahów.

Nawet roczny pobyt w Kalifornii, Arizonie i Nevadzie nie czyni człowieka znawcą przedmiotu. Wszystkie przedstawione w tej książce materiały, to jedynie niewielki ułamek całości. Został jednak zebrany z dużym pietyzmem dla szczegółu i jego realiów. To akurat tyle, na ile pozwoliły wyrwane pracy — kradzione weekendy. Kawałek świata, okruh Ameryki obejrzanym oczyma Polaka i dla Polaków zachowany. Talent narracyjny autora uczynił ten ogromny reportaż lekturą zajmującą i pouczającą zarazem. A takich właśnie lektur jest nam wszystkim bardzo brak. Wartkie życie, nie tylko w Stanach, nie zezwała nam na wiedzę uniwersalną. Cóż! Sta ramy się jak możemy.

Lech Utraccki — „Kradzione weekendy” — Wyd. Łódzkie 1965 — cena zł 25.



Biblioteka uniwersytecka.

Rys. W. Kondek

nia spraw bibliotecznych w Łodzi. Do nich przede wszystkim zaliczyć należy:

■ Przyjęcie w roku 1922 przez Gminę Miejską Biblioteki Publicznej (będącej własnością Tow. B.P.) i stworzenie jej stałych podstaw finansowych;

■ Powstanie (już w 1921 r.) koncepcji trójstopniowej sieci miejskich bibliotek, składającej się z biblioteki naukowej, wypożyczalni książek dla dorosłych i wypożyczalni dziecięcych, centralnie administrowanych i pozostających pod

ważne walory i nieliczne niedostaki. Wydawnictwo opatrzone jest 5 zdjęciami. Załączona bibliografia Miejskiej Biblioteki Publicznej (w oprac. C. Duninowej) liczy 272 pozycje i obejmuje także okres prehistorii z lat 1906-1917, kiedy to pojawiają się w Łodzi pierwsze inicjatywy założenia biblioteki tego typu. Do kumentuje ona wszystkie publikacje pracowników Biblioteki z nią związane i obrazuje życiowy stosunek do sprawy naszej księżnicy całej prasy łódzkiej.

stwierdzić, że obie instytucje winny unicestwić się gospodarczo uniemożliwiając sobie wzajemne osiągnięcie prawidłowych efektów ekonomicznych. Trudno bowiem w takich warunkach mówić o pełnym i prawidłowym wykorzystaniu klubo-kawiarni czy klubo-czytelni.

Pierwsza z nich posiada „karolinke” i telewizor, druga dwa radia i dwa adaptery. W pierwszej z nich założono, obok tradycyjnego, gustowne oświetlenie boczne, w drugiej natchymiaś też, choć nie było żadnej racjonalnej ku temu potrzeby. Ba, postarano się tu nawet o szamotowy piec, choć w innych klubo-czytelniach brak czasami zwykłych „żelezników” i luty wyłazi z każdego kąta.

W klubo-kawiarni zorganizowano wieczorek taneczny przy adapterze. W klubo-czytelni w tym samym dniu i o tej samej porze zorganizowano regularną zabawę z orkiestrą, specjalnie zresztą sprowadzoną. Dwie placówki założono również w Jeżowie. Do dziś na placu boju pozostała tylko jedna z nich. Słusznie, choć trudno jed-

nocześnie założyć, że przygotowanie i wyposażenie tej którą zlikwidowano nie kosztowało ani grosza; owszem kosztowało i to nie mało. Delokalizacja też kosztowała...

Po 5 miesiącach istnienia zlikwidowano klubo-kawiarnię w Witoniu (powiat Łęczyca). Zdecydowały o tym wysokie (1000 zł miesięcznie) rachunki wystawiane przez OSP za dzierżawę lokalu. A przecież zarówno OSP jak i klub powołano dla miejscowego społeczeństwa. Co więcej, właśnie owe społeczeństwo budowało także remizę OSP, w której wygospodarowano potem lokal na klub.

Likwidując klubo-kawiarnię zlikwidowano przy okazji spory kawałek społecznej roboty. Okazało się bowiem, że tamtejsza młodzież z kołem ZMW na czele, by na ową klubo-kawiarnię zasłużyć, naprawiała drogi, budowała kładki itd. itd.

W miejscowości Dąbrowice (powiat Łask) klubo-czytelnia jest nie opalana i nie oświetlana. W mojej obecności prezes tamtejszej OSP wyciągnął z kieszeni kluczyk. — Robię to wyłącznie dla pana redak-

tora — powiedział, po czym otworzył tym kluczykiem kłódkę w specjalnej szafce i wkroczył bezpiecznie. A przecież klubo-czytelnia nie jest dla pana redaktora, ani nawet obywatela redaktora, czy obywatela prezesa, obywatela kierownika itp. tylko dla miejscowego społeczeństwa po prostu dla obywatela, w interesie którego działają wszystkie placówki społeczne i administracyjne naszego państwa.

Kiedy kierowniczka klubo-czytelni w Dąbrowicach zgłosiła się po przydział węgla do GRN usłyszała, że jeśli jej jest „personalnie zimno”, to niech ona sobie „personalnie” ten węgiel kupi.

Kierowniczka odpowiedziała, że po pierwsze — nie ma pieniędzy, po drugie — skoro tak, to ona „personalnie” może stać za ladą w palcie. I stoi. Tylko nie bardzo wiadomo po co, bo użytkownicy, zarówno młodzież jak i dorośli, każdy z osobna „personalnie” przestali do klubu przychodzić...

Organizatorem omawianej klubo-czytelni jest „Ruch” instytucja jak najbardziej państwowa. Gromadzka Rada Narodowa która odmówiła przydziału

węgla (mimo, że istnieje w tej sprawie specjalne porozumienie i węgiel powinna dać) jest instytucją terenową państwowej władzy. Stagnacja w handlu nie sprzyja amortyzacji placówek. Amortyzacja to pojęcie ekonomiczne, wcale znowu dla państwa nie takie mało ważne... Aspekty społeczno-kulturalne i polityczno-wychowawcze istnienia placówki z braku miejsca pomijam.

Klubo-kawiarnia GS i klubo-czytelnia „Ruchu” w Lanietach prosperują do dziś. Nie wiem jednak czy jest to powód do radości, bo przecież jedna z nich bardziej jest potrzebna w innej wsi, jako że celem jakie stawiano przed tego typu placówkami była likwidacja białych plam na „mapach kultury”.

W tej chwili nie organizuje się już dwóch klubów w jednej miejscowości. Sprawy te uregulowało kolejne porozumienie. Skoro jednak specjalne porozumienia nie są w stanie przewidzieć wszystkich potrzeb i aspektów życia w pierwszym okresie działania klubów, pozostaje apelować do zdrowego rozsądku.

MIROSLAW MIESZCZANKOWSKI

Z PROŚBĄ O ZDROWY ROZSADEK

U podstaw akcji legły zdrowe zasady, wynikiłe zresztą ze zdrowego rozsądku. Jej celem było dostarczenie mieszkańcom wsi miejsc kulturalnej rozrywki, umożliwienie im spędzenia wolnego czasu w lokalach innych niż cuchnące alkoholem gospody. Celem ogólniejszym zaś, ale za to podstawowym: likwidacja na „mapach kultury” białych plam. Tak to właśnie bardzo wyraźnie napisano w porozumieniu zawartym między CRS a Państwowym Przedsiębiorstwem „Ruch” dotyczącym organizowania na wsi klubo-kawiarni i klubo-czytelni. Taka była geneza ich powstania i oczywiście genezie tej podporządkowano także wieś Lanietą w powiecie kut-

nowskim, tyle że uprzywilejowano ją specjalnie. W ubiegłym roku otworzyła tu klubo-kawiarnię Gminna Spółdzielnia, w środku wsi i z należytą pompą. W kilkanaście dni później otworzył w Lanietach klubo-czytelnię „Ruch”. W klubo-kawiarni przewidziano 46 miejsc siedzących, w klubo-czytelni zaś 54 miejsca. Cała wioska liczy sobie zaledwie trzydzieści parę osób. Tym więc prostym sposobem zważywszy, że nigdy nie dzieje się tak, by wszyscy wolni od pracy ludzie przysiadali w klubach jednocześnie — miejsc w lokalach zagwarantowano także dla... niemowlaków. Jeśli jednak wpływ niemowląt na obroty i pracę klubów wykluczyć, wypad-

MARIAN PIECHAL

"TANGO" CZYLI TANIEC MANEKINÓW

Niektórzy zestawiają „Tango” Mrożka z „Weselem” Wyspiańskiego, a nawet z „Nieboską” Krasieńskiego. Na ogół podobne zestawienia nie mają większego sensu poza spontaniczną kwalifikacją rangi utworu, ale — nie ma dymu bez ognia. To, co łączy „Tango” z „Weselem” i „Nieboską”, to określona historycznie środowiskowość społeczna jako temat dramatycznej treści utworu.

W „Nieboskiej” jest nią warstwa feudalnej szlachty, w „Weselu” zdeklasowanej inteligencji i bogatego chłopstwa, w „Tangu” pseudointeligencji z pogranicza drobnomieszczańskiego lumpenproletariatu. I jeśli w utworze Krasieńskiego mogła się jeszcze dziać tragedia na serio, a w utworze Wyspiańskiego Jeszcze prawdziwy dramat, to w „Tangu” Mrożka już tylko tragicomedie. I już tylko w wymiarach parodii i groteski czyli farsy. Tak, to już koniec. Ta warstwa społeczna, która jest tematem „Tanga”, nie nadaje się już do żadnej naprawy czy poprawy, jak to jeszcze możliwe było z warstwami społecznymi w „Nieboskiej” czy w „Weselu”. Tu już nie ma żadnej możliwości ewolucji czy transformacji. To świat absolutnie zdysocjowany. Jedyna perspektywa przed jaką stoją ludzie utworu Mrożka to śmiertnik. Śmiertnik i zlew. Nicieś historyczna. Koniec, zero, nul, „Konecówka” Becketta.

I podobnie jak „Konecówka” Becketta, „Tango” Mrożka ma znaczenie powszechne. Dzieje się dziś i wszędzie, nie tylko w Polsce. Podobnie jak „Nieboska” i „Wesele” działa się wtedy i ówczesnie wszędzie, nie tylko w Polsce. Bo procesy, które ilustrują te dramaty, to dialektyczne, a więc nieuniknione procesy przemian społecznych, procesy historyczne. „Tango” Mrożka przedstawia produkt uboczny tych procesów, odpadek śmietnikowy — to, co idzie na tzw.

rozkurz. Nie, nie na przezmiał, tylko na rozkurz.

Z przemiału otrzymujemy mąkę, z której można wypiekać różne rzeczy. Z przemiału historycznego, któremu podlegają postacie dramatu Mrożka, nie już nie będzie. Z tej mąki nie da się upiec nawet najłżejszego podpieczyka. Bo to tylko jej imitacja, to pył i kurz.

Właśnie kurz czyli szminka, czyli imitacja. Postacie dramatu Mrożka to przecież nie żywi ludzie, którym o coś na serio chodzi, którzy w imię czegoś na serio walczą, ku czemuś na serio dążą — to tylko imitacje ludzi, uszminnowanych chwilowo na ten lub inny kolor przekonań, hasel, sloganów czy idei. To fiksjaki. To manekiny, których od wewnątrz poruszają pierwotne odruchy warunkowe, to jedynie przewody pokarmowe, które już nie trawia i w których niczym się nie różni usta od odbytu. Gdyż oba końce są równo pochłaniają jak i wymiotują z siebie te same akcenty przekonania, hasel, sloganów i idei. Nawet Artur, ten pseudopozitywny bohater tragifarsy Mrożka, nie odbiega w niczym od normy zautomatyzowanego manekina. W nim tylko kumuluje się i wyklarowuje do nihilistycznej skrajności to, co się gra w duszy wszystkich innych uczestników tego niesamowitego sabatu osobników z marginesu historycznego.

Niech nikt nie upatruje w Edku wybaciciela z kosmaru. Niech nie daje się nabrać na jego chamską krzepce. I na jego mruklawe milczenie. On nie jest uosobieniem ludu. Ludu wprawdzie milczy, ale z nadmiaru tego, co ma do powiedzenia. Edek milczy, bo nie ma nie do powiedzenia. Edek nie ma także nie do zrobienia. Wszystko, co do niego robił, to była imitacja. Imitacja lokaja. Jedyny jego czyn oryginalny i własny, ubijstwo w okolicy (od ubió nie za-

bić, to był odruch warunkowy — odruch bezdusznego manekina.

I równie bezdusznym odruchem jest jego finalny taniec, który zyskuje na wstrząsająco-tragicznej wymowie tylko dlatego, że uprzytamnia widzom całą grozę społecznego wymiaru manekinizmu. Ten upiorny taniec razem z trupio-zielonym z przeobrażenia wuciem Eugeniuszem w gorylaty obciążonych po twornego Edka tańczy poniekąd każdy z nas. Tańczymy poniekąd wszyscy. Wszyscy bowiem czujemy, że nikt z nas nie mógłby z czystym sumieniem powiedzieć o sobie, że nie tańczy bezwiednie lub że ani razu nie tańczył takiego tańca w swoim życiu. Może o tym nie wiedział, ale mu to obecnie Mrozek na scenie uprzytomnił. I to jest przyczyna owego wstrząsu, owego katharsis, którego na tym spektaklu doznajemy, tym samym kwalifikując go do rzędu sztuk teatralnych najwyższej próby.

To wszystko, co dotychczas zostało powiedziane o sztuce Mrożka, to wymowa samego tekstu, którego artystyczna właściwość polega na dialektycznej grze podtekstów. Słowo w dramacie Mrożka służy nie do wypowiadania, lecz właśnie do maskowania tych podtekstów, które dopiero sam bieg akcji i momenty sytuacyjne dekonstruują i wywołują w całej groźnej wymowie ich gorzkiej treści. Mrozek wie, że niedopowiedzenie lub aluzja ma większą siłę ekspresji w teatrze, niż przegadanie i nadmiar słów. Dlatego więcej operuje rekwizytami, ruchem postaci i sytuacjami, niż wyrazem słownym i dialogiem. W istocie rzeczy nie ma dialogów w sztukach Mrożka, jest właściwie tylko Zwischenruf i gra słów, gra znaczeń. Toteż problem odpowiedniej ekspresji scenicznego sztuka Mrożka, a zwłaszcza „Tanga”, to szczególnie trudne zadanie dla inscenizatora, reżyserów i aktora. Sztuka podtekstowa szczególnie jest zależna od takiej lub innej akcentacji w orolnej koncepcji inscenizatorskiej. Stąd teatry to inna tonacja sztuki, chociaż jej zasadniczej wymowy nie zdoła wyznaczyć żadna mniej lub bardziej udana realizacja sceniczna.

Świat „Tanga” Mrożka znamy już dobrze skądinąd: z Zapolskiej, z Witkacego, z Gombrowicza. Tam była ścieśnia z bigoterią, modernizm z dekadencją, czysta forma z awangardyzmem — tu jest

wszystko razem jak groch z kapuszą w antyseptycznym opakowaniu supernowoczesności, abstrakcji i eksperymentu dla eksperymentu, swoisty kult wyjąłowej już z jakiegokolwiek znaczenia zarówno w życiu jak i w sztuce zasady „informel”. Widzimy trzy pokolenia pewnej rodziny, która gromadzi wszelkie rupiecie, a jednocześnie z tradycji nie chce przyjąć. Odrzuca wszystko w imię modnie pojętej nowoczesności, a zapada niechęć w starą rupieciarnię nawyków i przesądów. Nie może wyjść z błędnego koła automatyzmu i hasel bez pokrycia. Katarfalk, na którym stała trumna męża babei Eugenii, uszminnowanej na podłotkę, łupiącej w karty i popisującej się żargonem chuliganów, bryczesy do konnej jazdy sprzed lat pięćdziesięciu jej starszego brata w hareerskich spodniach Eugeniusza, kolyśka, w której urodził się ich wnuk Artur — towarzyszą na scenie przedziwnemu misterium, w którym nowoczesne życie wyzwolone z przesądów reprezentuje matka Artura, Eleonora, kurwiająca się jawnie, choć pokatnie, z pełnią w tym osobliwym domu funkcję lokaja, debilem Edkiem, a eksperymentalny awangardyzm scenicznego ekspozycji wystrzał z antykwarycznego hebenkowa jej małż, problematycznie ojciec Artura, beznadziejnie jałowy reżoner i świadomie dobrowolny rogacz Stomil. Sam Artur wreszcie i jego narzeczona Ala, która tuż przed ślubem traci niewinność wzorem swej niedosłej teściowej w eksperymencie erotycznym z zawsze gotowym do wszelkiego, byle krzepkiego, rodzaju usług wlochatym, żyłastym i bicepsowatym, oswojonym do czasu, pithecanthropem Edkiem, nie odbiegają w gruncie rzeczy od norm, które reprezentują babcia i Eugeniusz, Stomil i Eleonora. Ich bunt przeciwko beznadziejności sytuacji jest pozorny, bo ograniczony do powtórzenia starych odruchów i gestów, a rozpaczywane wołanie Artura o wielką ideę zmiany okazuje się jedynie pijacką niepozytywną czkawką wobec absolutnej niemożności czegokolwiek w tym środowisku nikczemnej gry pozorów. Swój bunt rozpaczywał podobnie jak babcia i Eugeniusz, jak jego ojciec i matka, od czystej negacji tego, co zastał, od chęci zmiany samej formy bez jasnego określenia treści. I podobnie jak oni stał się

ofiara prymitywnej i wulgarniej treści, nie ujętej jeszcze w żadną stymulującą formę, nagiej treści, która uosabia zwycięski w końcu Edek.

Nowoczesność porażona achronicnością to główna choroba tego współczesnego modelu pseudopostępowej rodziny. Wielkie to zwycięstwo Roma na Sykały jako inscenizatora, chyba szczyt w jego karierze reżyserskiej, że tak ustawił aktorów i ich akcje, że przedstawienie nie straciło nic ze swej ogólnej wymowy, a poszczególne kwestie i sytuacje ze swych zjadliwie aktualnych podtekstów. Nie można tutaj oczywiście mówić o bezbłędnej obsadzie ról, ani o bezbłędnym wykonaniu tych ról, ale tylko o zmniejszeniu do minimum różnicy między tekstem sztuki a jego sceniczną realizacją i o zwiększeniu do maksimum możliwości wykonawców i harmonijnej ich wśnóglry.

Prawie bezbłędna była KRYSZYNA FELDMAN w roli upiornawej babei Eugenii, godnym jej partnerem był CZESŁAW PRZYBYŁA w roli wujcia Eugeniusza, tego kolejnego cienia Stomila, Artura, Edka, wreszcie samego siebie. Również prawie bezbłędnie zagrały swe role HALINA PAWLOWICZ i POLA RAKSA, ale też trzeba przyznać, że postacie Eleonory i Ali to więcej przyrodzone warunki, niż kreacje. Jednak z tą poprawką, że Ala, Artur, Stomil i Edek to właściwi nosiciele akcji, między nimi właśnie rozegra się coś na serio, co nada całej akcji sens i spowoduje tragiczny finał. Zdrada Stomila przez Eleonorę nie spowoduje żadnych następstw, prócz tylko dialogu między synem a nie szczesnym „z rogami do sututu” ojcem, który stwierdzi smętnie, że z materii takiego życia, jakie oni wiedzą, nie da się stworzyć tragedii: „Farsa i nie więcej. Dzisiaj tylko farsa jest możliwa”. Natomiast bezmyślna zdrada Ali stwarza przypadkową możliwość tragedii. Obudzi na chwilę w kabołynskim poszukiwaczu idei, Arturze, cierpiącego człowieka, w manekinie poruszy ludzkie serce. Ale na takiego nie ma miejsca w tym zautomatyzowanym świecie. Zachwianej fantasmagorii manekinów przywraca równowagę bezduszny robot Edek, ubijając Artura sposobem, jakim zwykle uśmierca się królika. JANUSZ KUBICKI w swej na ogół małowówniej roli Edka miał

trzy kapitalne kwestie, dialog z Arturem na temat idei postępu (postęp postępowy, który idzie tyłem do przodu, a przodem do tyłu), ubijstwo Artura i finalny nad jego trupem taniec z wuciem, we wszystkich trzech wytrzymał próbę odpowiedniego poziomu i stylu. ZBIGNIEW NIEWCZAS w roli Stomila i MICHAŁ SZEWCZYK w roli Artura doskonale byli w kapitalnym dialogu przed sypialnią Eleonory z tym, że Artur w całości mniej był jednolity i charakterystyczny, niż Stomil. Obaj jednak waleń przyczynili się do właściwej wymowy przedstawienia, które w swoim finalnym akcie, jak już podkreślałem, było wstrząsające. Tu nikt nie został oszczędzony. A najmniej obojętni na widowni. Każda z uczestniczek tego spektaklu mogła się jak w krzywym zwierciadle przejrzeć dokładnie w babei, Eleonorze i Ali, a każdy z widzów na pewno jakąś cząstkę siebie mógł ujrzeć w wuciu, Stomilu, Arturze, a nawet w Edku. „Formalizm prawdy, wewnętrzna bezstronność”, jakby powiedział Norwid — oto zwięzła charakterystyka świata, który demaskuje utwór Mrożka. A obsesyjnej melodii tanga towarzyszący nam długo jeszcze po opuszczeniu teatru można by przypisać słowa niedawno zmarłego poety T. S. Eliota: „I cóż możemy poznać, poza tym, że stanęliśmy z pustymi rękoma i dłońmi odwróconymi ku górze, w tym wieku, który postępek swym cofa się wstecz?”

Scenografia MARIANA STANCZAKA non plus ultra. I jeszcze raz za wystawienie i reżyserię tego współczesnego dzieła o wymiarze światowym, aż gorącego od aktualności, należy się specjalna pochwała ROMANOWI SYKALU.

PS. Ale ten program? Program do „Tanga”? Zajrzyjcie do obu zamieszczonych tam elukubracji pt. „Divadlo o Mrozkui i teatrze absurdu” oraz „Hamlet prywatny” — coż to za nieprzytomne brednie! Przykłady: „Mrozek bowiem nie pragnie tylko bić i brać na muszkę zacofania, przepłaconego ze skarykaturowanym postępek... Tak zwane biczowanie niedośladków — jest bardzo ograniczone zasięgiem samego bicia, chłozce bawiem jednostki lub pośpiesznie sporządzone abstrakcje, złożone z przetyków i deformacji”. Czy chcecie więcej przykładów? Chyba wystarczy.

STANISŁAW KASZYŃSKI

DANCE-MACABRE NA SPOSÓB POLSKI

Nie znam utworu dramatycznego, napisanego u nas w ostatnim półwieczu, któremu by towarzyszył również zgodny chor pochwał i oklasków, jakie słyszemy od prapremiery „Tanga”. Ubiegają się o nie teatry, komentują je obszernie krytycy, co najważniejsze — powszechną aprobata podziela i publiczność: byłem na piątym spektaklu „Tanga” w Teatrze Powszechnym — salę wypełniono calcukwicie, od ścian do ścian. Przyopuszczam, że chęć obejrzenia długo jeszcze będzie ścigać widzów — bardzo tego życzą teatrowi. Zainteresowanie szerokiej zagranicy pomnaża do datkowo sukces, nadając dziełu, nie bez słusznego, rangę niecodziennego wydarzenia. Takie są fakty. Bardzo radosne pewniki w każdej możliwej płaszczyźnie. Tak bywa zawsze, chociaż nader rzadko, kiedy coś uderza w nas jakby zza węgla, targa nami, wstrząsa aż do trzewi. To coś winniśmy nazwać, oznaczyć jego genezę i istotę, przełożyć na język do znań i myśli, po prostu zakomunikować. Może wówczas odsonia się lepiej przyczyni powodzenia sztuki, jej tajemnicza fascynowania. A może to zwykła zachwalość zrywać takie pieczęcie, może pozostać ten fenomen w jego „niedocieczonych wątkach”, przecież pozostanie dość do smakowania. „Tango”, mrozkowy „Volterfer”, został już objaśniony w wielu wstrwach. Co prawda Artur Sandauer imputował piącym na ten temat kilka niedopowiedzeń, karcąc ich powściągliwość w rozwijaniu orzeczeń czy tylko domysłów. Trudno przyjąć taki zarzut na

serio, jest na pewno jednym z wielu drażniących oskarżeń wojującego pamflicisty, ciskającego bez przerwy w stronę krytycznej konfraterni. Jeśli go tutaj cytuję, to dlatego, iż ilustruje on piekielne komplikacje, czyniące na pedantycznego wykładacza, który by się np. moził nad precyzyjnym ustaleniem zbieżności czy tożsamości, jakie mogą (ale nie muszą) zachodzić między tworem sztuki a układami rzeczywistości. W tym świecie, który Mrozek dotąd rekonstruował, mimo zagęszczenia obiektywnych dowiadzeń historycznego Polaka i człowieka współczesnego Mundi Absurdi, opisane zaczęły bywały tyleż cząstkowo sprawdzalne, co niedoznaczne, naciągające wskutek groteskowo-cyrkowej (m. in.) poetyki, uprawianej przez pisarza. Mogły i takie projekcje wywoływać reminiscencje czy aluzje — i z reguły wywoływały — jednakoż ich zasięg i charakter były nieodmiennie zależne od potencji wyobraźniowej odbiorcy. Inaczej ma się ta sprawa w „Tangu”. Przerzut w domenę „realności” Mrozek dokonał poprzez osadzenie akcji w zamkniętym kole rodzinnym, przez umieszczenie perypetii w czterech ścianach „zwykłego” mieszkania, poddał wreszcie życie swych bohaterów regułom dramatu psychologicznego, spisanego, o dziwo, w konwencji realistycznej; tu jest ta niezwykła wolta dramatopisarsza i to właśnie sprawia i przesądza o czytelności dzieła nawet dla mniej wyrobionego widza. Oczywiście, realizm mrozkowy trzeba wziąć w cudzysłów, niemniej jest on na tyle rzetelny (por.

bogate didaskalia, wprowadzające drobniagowe mobilia, stroje, itp.), iż kompletuje wszystko (od motywacji zachowań bohaterów, aż do dialogu), o co upomina się rzeczona konwencja. Otrzymujemy nieomal typowy dramat rodzinny, pokazany w rozwiniętych sytuacjach, za pomocą normalnie zbudowanej fabuły, bez trójków kompozycyjnych i bez tanałów czasowych, ale przepuszczony przez filtr parabol. Przynawieścią posługują się najchętniej moralisci i to, co łączy „Tango” z poprzednimi utworami Mrożka, polega właśnie na przyporządkowaniu „obrazków familijnych” rygorom moralizującej parabol. Parabola dynamizuje jednocześnie „widzenie realistyczne”, pozwala nadto na rozluźnienie sztywnej lustrzanej relacji i na stawianie rozlicznych pytań, przemilczeń, dwuznaczności, które potęgują metaforyczność „Tanga”. Metaforami są postacie, niby odpowiedniki realnych ludzi, są nimi i spręży i pojęcia, równie funkcjonujące w naszym świecie, choć poszerzone, czasem odwrócone lub skarykaturowane. Z tej konstrukcji wyziera wszak jakaś nieuchwytność i to pomimo jej natarczywej bliskości, promieniuje i makabra, niesamowitość, jakkolwiek wyuczamy jakieś punkty styżne z naszym wymiarem. Ow mikrokosmos rodzinny mieści w sobie cały ogrom ważkich problemów, które tworzą i wypełniają nasze życie — aktualne: problemy obyczajowe, tradycji, eksperymentu, postępu, oportunistu, miłości, wiary, władzy... A więc — czy to jest sztuka o skrachowanym reformatorze (Artur), czy rzecz o ludzłym eksperymencie i jego zagłanym i impotentnym przedstawicielu (Stomil), czy wuj Eugeniusz jest portretem niezwykłego konformisty wszystkich czasów? A Edek? Czy jego końcowy triumf uosabia tryumf brutalnej siły i chamtwa nad hamletyzmem działaniem, biernością i izolacjonizmem wszelkiego autorkamentu? I czy burzliwe takti „La Cumparality”, odprowadzające nas do szatni winny wsaczać w uszy przestroję przed skutkami barbarzyństwa Edkowej troglodyckiej indywidualności? Wydaje się, że nie ma tu ani prowadzącej

postaci ani prowadzącej idei, która by się wyodrębniła w jednoznaczne credo finalu: mrozkowa parabola akcentuje paralelnie szereg ważkich moralno, atakujących na raz swą przerażającą perspektywą. „Tango”, mimo pozorów łatwości w sensie realizacji, nie jest przecież sztuką aż tak prostą. P. R. Sykala, dość wiernie przestrzegający wskazówek autora (żąda on od reżysera powagi i naturalności), nie uwierzył mu jednak w pełni, zwłaszcza w dwóch pierwszych aktach. Ustawił je nieco komediowo, zabawnie, za mało powściągliwie, wahał się jakby między tonacją buffo a makabreską, wyciągał raczej dowcip sytuacji niż słowa. Dopiero w trzecim akcie wszedł we właściwą atmosferę. Jak mi się wydaje, stało się to m. in. możliwe dzięki oczyszczeniu „pola” z nadmiernej rupieciarzy; scenograf (M. Stańczak) zanurzył bowiem rzecz w rozdzętej pstrokacji gratów. Zagracenie, które tutaj oznacza i symbolizuje jeden ledwie motyw (wał

ki z obyczajową inercją i staroświeckością), zostało zrozumiane zbyt dosłownie, jakoś aintelektualnie, co więcej, przechylilo spektakl w stronę rozprawy z tą wyłącznie tendencją. Poważniejsze wątpliwości nasuwa wybór obsady — czy obarczać za to reżysera (słaba ręka w ustawianiu „charakterów”), czy ten skład osobowy miał najlepiej wypunktować jego interpretację — nie wiem. Dla mnie osobliwie najdramatyczniejszym rozdziałem parabol jest Edek, Edek, ktoś obcy, determinuje nie tylko sytuację rodziny Stomilów, jego pozycja, coraz ważniejsza, wyduża asocjacje, zmienia perspektywę, zamienia ją już poza obrębem dlamuje Stomilów, w jakimś odległym punkcie. Edek jest groźny, niebezpieczny — straszny. P. J. Kubicki nie oddarzył go tymi atrybutami, z drugiej strony nie użył mu odrobiny osłizłej dobroci, Ingdenego cwanialstwa, podejrzanego uniożności: gra natomiast od początku kolosalnego debila o manierach przedmiejskich, dzięki cze-

mu nie przynosi do ostatecznego starcia z Arturem grozy, mrożącej krew w żyłach. Debil jest bezsprzecznie groźny, ale pojęty w kategoriach czysto psychiatrycznych, nie może być partnerem tragicznego konfliktu, przynajmniej partnerem w tym rozumieniu, jakie powinno obowiązywać w tej sztuce. Stąd też nieco wyblakło jego starcie z Arturem. Gra go P. M. Szewczyk, doskonały aktor charakterystyczny, przekonujący w rolach młodzieńców o mniej skomplikowanych wnętrzach. Niestety, powtórzył tu to, w czym celuje, był za mało pojęmy, tragiczny — ot, krzykliwe „młodzieźowiec” z minionej epoki. Nie mógłbym też powtórzyć pochwał pod adresem P. Cz. Przybyły, jakie niedawno wypisałem w związku z jego rolą w „Domu otwartym”. Stęzałność maski, flegmatyczność i niezgrabność ruchu, zatrzymywanie gestu, które tak mnie urzały, przywołane tutaj ponownie, nie rzębiły kapitalnej kreacji pisarskiej. Jaka jest wuj Eugeniusz. Przydałaby się większa elastyczność, gumowatość tego kibica i konformisty ideologicznego, może nawet jakiś wdzięk, którym przecie odznaczają się osobnie pozbawieni kregosłupa.

Wreszcie aktorstwo P. P. Raksy (nie oglądałem p. R. Kamińskiego). Być może, że zaciążyła na jej ujęciu roll Ala nakazana przez reżysera powściągliwość, zduszenie żywszych reakcji, widoczne i w innych postaciach, w każdym razie ta Ala jest dość matowa, ogląda się ją jak przez szybę. A może tajemnica tej interpretacji leży po prostu gdzie indziej? Po chodzi z techniką gry filmowej i z częstego powielania typu „dziewczyny naszej generacji”, co daje w końcu czy dać może żużący stereotyp?

Doprawdy, kiedy oglądamy taką sztukę, nie ma się ochoty zaspywać realizatorów rozmaitymi pretensjami. Cieszymy się, że mamy nareszcie wielki tekst do grania, satysfakcję dla teatru i publiczności.

P. T. Powszechny: Sławomir Mrozek, „Tango”, utwór dramatyczny w trzech aktach, reż. Roman Sykala, scenogr. Marian Stańczak, prem. 18. XII. 1965 r.



„Tango” — scena zbiorowa.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MIKROKOPIE

W 1835 roku angielski fotograf Danser sporządził mikrokopie gazet „London Times”. Kopia miała powierzchnię 1,5 cm kw. Jeden z dzienników pisał wtedy zdumieniem: „Jeśli nadal posługiwać się będziemy tą metodą, wszystkie nasze archiwa można będzie pomieścić w zwykłej tabakierce”. Niedawno w Stuttgarcie sфотографowano 2.400 stron ilustrowanego słownika na specjalnej kliszy „Kodak” o rozmiarach... 5 na 5 cm.



LISTY BERNARDA SHAWA

„Niech pan zapomni o tym pomysłach” — pisał Bernard Shaw (1856—1950) do swego amerykańskiego wydawcy, gdy ten wystąpił w roku 1949 z projektem wydania listów zebrań wielkiego dramaturga. „Napisałem miliardy listów i do tych astronomicznych liczb co dzieć dodaje nowe” — stwierdzał Shaw. Wydawcy nie pozostało wówczas nic innego jak odłożyć swój pomysł. Obecnie jednak, po kilkunastu latach od śmierci dramaturga, profesor Dan H. Laurence z nowojorskiego uniwersytetu opublikował pierwszy tom zebrań listów George Bernarda Shawa. Całość publikacji zawiera 2.500 listów, obejmujących okres 77 lat, od dzieciństwa Bernarda Shawa w Dublinie aż do roku 1950. Do 175 adresatów listów pierwszego tomu należą m. in. Charlotte Payne-Townshend (pożniej żona dramaturga), aktorki Ellen Terry i Janet Achurch i wiele innych kobiet, z którymi Shaw utrzymywał

żywną, niejednokrotnie miłosną, korespondencję. W pierwszym tomie znajdują się też listy pisane do różnych osób znanych w świecie artystycznym jak np. do znanego tłumacza i krytyka teatralnego Williama Archera lub do Johna Morley, wydawcy „Fortnightly Review”.

JAK PRACUJE ILIA ERENBURG

Ilia Erenburg (ur. 1891) znany pisarz i dziennikarz, w wywiadzie udzielonym przedstawił w „Woprosy literatury” podzielił się interesującymi informacjami na temat swej pracy twórczej i odrobił tajemnicę swego warsztatu pisarskiego. M. in. pisarz powiedział, że od 1930 roku pisze wyłącznie na maszynie. Pracuje powoli. Nigdy nie pisał więcej niż pięć stron maszynowych dziennie, przy pracy od rana do wieczora. Wieczorem poprawia to co napisał w ciągu dnia. Wyjątkowo tylko, jednym ciągiem, w miesiąc napisał „Niezwyczajne przygody Julia Jurecisty”, ale jak mówi, całą książkę miał już ułożoną w głowie. Treść jej opowiadał przyjaciółm na długo przed tym, nim zabrał się do pisania. „Teraz siły już nie te co były — stwierdza Ilia Erenburg — piszę nie więcej niż dwie strony dziennie. Pracuję od rana do wieczora, poprawiam po napisaniu każdą stronę, bardzo dużo wykreślam, bez żalu, a jeśli jakiś fragment uważam za dobry, przepisuję go i znowu poprawiam. W rezultacie każda strona — to osiem do dziesięciu sklejonych kawałków. Znam współczesnych pisarzy i to nie pozbawionych talentu, którzy swoje powieści dyktują stenografom, a na przechadzce wybierają się z magnetofonem. Oczywiście w technice pracy literackiej nie ma sztywnych reguł, ale ja osobiście cenię tylko słowa dobrane z trudem”.

DRAMAT O WŁOSKIM RUCHU OPORU

Wiele książek napisał o włoskim ruchu oporu. Jednakże jedyną sztuką teatralną na ten temat pt. „I on się ukrył” (Edegił si nascose) dopiero teraz została wystawiona na scenie

we Włoszech. Autorem jej jest znany pisarz Ignazio Silone.

Silone napisał dramat na uchodźstwie, w Szwajcarii. 22 lata temu. Sztuka została wydana drukiem w roku 1944 w Lugano w Szwajcarii. Na scenie po raz pierwszy grał ją, zaraz po wojnie, „Berliner Ensemble” Brechta w Zurychu. Następnie na jesieni 1945 roku dramat wystawiany był w Królewskim Teatrze w Kopenhadze, a w trzy lata później grano sztukę na scenach różnych ośrodków uniwersyteckich w Stanach Zjednoczonych.

Od tej pory dzieło Silone zniknęło na długie lata ze sceny. Dramat „I on się ukrył” jest trudny zarówno dla wykonawców jak i dla widza. Bardziej przypomina średnio-wieczne misterium niż współczesną sztukę sceniczną. Akcja toczy się w czasie, kiedy Włosi upojeni byli wiarą wielkości imperium. Tylko ludzie tego pokroju mogli myśleć i postępować działacz społeczny Ignazio Silone, mogli już w owym czasie triumfującego faszystowskiego zła i próbować mu się przeciwstawić. Sceneria dramatu, podobnie jak we wszystkich powieściach Silone — to Abruzzi, najwyższa część Apeninów. Życie tutaj jest trudne, trud zdobywania chleba powszedniego w surowym, skalistym kraju. Bohater dramatu, Pietro Spina, wraca z dalekiego wygnania, aby zorganizować opór chłopów przeciw faszystowskiej dyktaturze. Ale wiekowi niedza wygasła wszelką nadzieję w sercach wieśniaków. Słowa Pietra, występującego w przebraniu jako ksiądz, przyjmują z niedowierzaniem i rezygnacją. Spina nie zdola zapalić w nich buntu, co najwyżej ludzie połączą się w idee poszukiwania nowej wiary „z której wyrosną nowa nadzieja i nowa miłość bliźniego”. I według starego zwyczajów tych górskich okolic, przy końcu sztuki, ciągną do domu żaloby, gdzie ojciec zabitego współtowarzysza niedoli, dzieli się z nimi chlebem i winem.

MUSICAL „OLIVER TWIST”

Musical „Oliver Twist” (według powieści

Karola Dickensa) z tekstem i muzyką Dionela Barta, cieszy się jak dotąd, największym powodzeniem w Anglii. Konkurencją staje się jednak obecnie musical „My Fair Lady”, który osiągnął już liczbę 2.282 przedstawień.

„LALKI” JACOBSENA

Znany dawniej jako rzeźbiarz-kubista Jacobsen zaskoczył wszystkich wystawiając w ro-

maijskich poetów jak też ich teksty w języku Somali lub arabskim oraz tłumaczenie angielskie tych utworów prozą, wiernie oddające treść i nastrój wierszy. Przygotowanie do druku tej pracy było zadaniem nietatwym. Poważne trudności mieli autorzy książki zwłaszcza z notowaniem utworów w języku somaljskim, który jest jedną z odległych semito-chamickiej grupy języko-

skie zamieszczono jako fotokopie. Tematem poetyckiej twórczości somaljskiej jest życie plemion kojących się ze stadami wielbłądów po wypalonej słońcem afrykańskiej sawannie, obyczaje ludu Somali i jego religijne mity.

MUZEUIM IM. LERMONTOWA

W Moskwie stoi jeszcze dom, w którym w latach trzydziestych ubiegłego stulecia mieszkał Lermontow. W domu tym ma powstać muzeum imienia Lermontowa. Będą tu przechowywane pamiątki po wielkim poecie i jego rękopisy.

CENNE ARCHIWUM FOTOGRAFICZNE

Ponad 180.000 negatywów i około 80.000 dia- pozytywów ze wszystkich dziedzin nauki i kultury znajduje się w słynnej fototece Dreżna. Stałymi abonentami fototeki są organizacje naukowe i kulturalne z ponad 40 krajów. I tak np. ostatnio Brazylia za mównicą serię złożoną z około stu fotografii, których tematem są zabytki starożytnej kultury Majów.

WYSTAWA WSPÓLCZESNEJ SZTUKI FRANCUSKIEJ W AMERYCE POŁUDNIOWEJ

Po Rio de Janeiro, Buenos Aires i Montevideo, stolica Chile, Santiago, zainaugurowała wystawę współczesnej sztuki francuskiej, która reprezentuje 166 dzieł. Wśród nich są obrazy Picassa, Braque'a, Chagalla, i Utrilla.

KSIAZKA O POEZJI SOMALI

W serii wydawanej w Oxfordzie biblioteki literatury afrykańskiej ukazała się interesująca publikacja o poezji Somali. Opracowanie, którego autorami są lingwista B. W. Andrzejewski i etnograf I. M. Lewis zawiera zarówno omówienie twórczości so-

wej i nie posiada jeszcze ogólnie przyjętej pisowni. Teksty tych wierszy zostały podane w książce w transkrypcji łacińskiej, a teksty arab



„Lalki” Jacobsena



Kto to? — Oczywiście B.B. w czasie spaceru po zimowym Broadwayu.

POLONICA

WIELEJ PIANISTI

Harold C. Schonberg, krytyk muzyczny „The New York Times”, opublikował pokazny rozmiarów książkę pt. „The great Pianists”, zawierającą historię fortepianu i portrety wybitnych pianistów od początków aż do czasów obecnych. Wśród uwzględnionych artystów znajduje się również Ignacy Paderewski. Zdaaniem autora, Paderewski należał do tych pianistów, którzy więcej oddziaływali na publiczność osobistym czarem i magią zachowania się, niż istotnymi kwalifikacjami muzycznymi. Powołując się na opinię wielu znawców i krytyków muzyki, Schonberg twierdzi, iż Paderewski nigdy nie posiadał wielkich wirtuozowskich umiejętności, jakie mu niektórzy przypisywali. A jedynak potrafił tak zawładnąć publicznością, zwłaszcza amerykańską, że wprost go ubóstwiano. Oto opis występów Paderewskiego w Jersey w 1893 roku: „Słuchacze nie chcieli opuścić sali i bardzo często zmuszali go do godzinnego bisowania. Niezliczone hości ludzi cisnęli się na scenę, aby uścisnąć rękę artysty. W Teksasie uczniowie szkół wędrowali wiele mil po to, aby móc go zobaczyć. W całej Ameryce tłumy oblegały dworce kolejowe, aby ujrzeć go w wagonie i zachwycać się jego profilem. Niejednokrotnie tłumy zalegały całą drogę od dworca aż do sali koncertowej”. Warto jeszcze przytoczyć opinię młodego Bernarda Shawa z występów Paderewskiego w Londynie. Shaw napisał: „Jego wdzięk kryje się w jego młodej naturze i w poczuciu humoru. Jego recitale nie są w żadnym wypadku przytłaczające, jak to zazwyczaj się zdarza”.

AUSTRIA — POLSKA

Grudniowy numer czasopisma „Polen in Wort und Bild” (Polska w słowie i obrazie), wydawanego przez Towarzystwo Austriacko-Polskie w Wiedniu, zawiera wiele interesującego materiału. Przede wszystkim omówienie wizyty premiera Cyrankiewicza w Austrii, wizytę austriackiego ministra Pradera w Polsce, kronikę „Polskiego tygodnia” w Linzu, występy warszawskiego Teatru Narodowego w Wiedniu z „Historią o chwalebny zmarłych wstąpieniu” i „Żywotem Józefa”. Nadto w numerze znajdujemy artykuł poświęcony 200-leciu sceny narodowej w Polsce, przemówienie ministra Piffli-Percevicca przy wręczeniu nagrody im. Lenau polskiemu poecie Zbigniewowi Herbertowi oraz odpowiedź laureata, a wreszcie bogatą kronikę wydarzeń kulturalnych, z której dowiadujemy się o odczytach Jacka Frühlinga w Wiedniu na temat polskiego życia teatralnego oraz o wystawieniu „Hal-ki” w wiedeńskiej Volksoper. Numer uzupełniają liczne, bardzo dobre fotografie.

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK. Nie tak łatwo jest zerwać z przeszłością. Niedawno miałem okazję, w gronie znajomych, dyskutować przemianę jakie przechodził człowiek. Zaczęło się od sakramentalnych siedmiu lat „noszenia tej samej skóry”, bo później ponoć nie zostaje ani skrawek tego, co powleka ręce, nogi, brzuch itd. Zaniepokoiłem się ogromnie. Pomyślałem tylko ile już skór zdążyłem zniszczyć gładkich i elastycznych, a każda następna już nie ta, już nie ta... A tam gdzie? Też wszystko nie takie jak przed... na przykład wojnę. Ruch materii delikatnie i niepostrzeżenie podmienił nam Jurka. Oto rumiący Jurczek stał się bladym Jerzym. Od skóry zaczęły poprzec mięśnie, otrzewna, opłuc-

wnętrza bałasu”. Też wynalazek... Tylko na posadkę i szyby! He, he, he...

ŚRODA I CZWARTEK. Mowa jest dźwiękiem myśli, poezja jest muzyką myśli i uczuć. XII Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, to „Święto powszechne literatury pięknej”, bowiem „literatura piękna miewa, jak każda działalność ludzka, swoje dni powszednie i swoje święta”. A 20 stycznia br. odbędzie się w Łodzi wstępne turnieje środowiskowe recytatorów. Po turniejach dzielnicowych i wojewódzkich w dniach od 8 do 15 maja centralny turniej. Uczestnicy konkursu przygotowują obowiązujące i dowolne utwory poetyckie oraz prozę. Zapewne, jak i w ubiegłych latach, „Śpiewacy” poezji z Łódzkiego nie będą ostatni w tych szrankach.

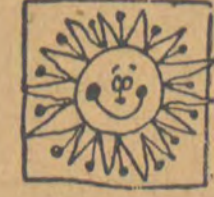
Prof. Orlicz jest pełen werry i zapału. Pokazuje ładną graficznie książeczkę, której wnętrze prócz wiersza W. Broniewskiego i wypowiedzi J. Przybosi na temat „Wolnego Ruchu Twórczej Mowy”, zawiera regulamin konkursu i arkusz recytatora; co w rodzaju sensownej ankiety personalnej skrzyżowanej

z indeksem. Na okładce wiersz Marcina Bielskiego (1495—1575):
Pomni na to,
Czytelniku miły,
By się według miary
wiersze czyły.
Różne w sobie
mają zachowanie,
Kto nie baczny
nietrafne czytanie;
Ale kto z ich miary
nie wykroczy,
Dobrze się wiersz
w czytaniu potoczy.
Przeto liczba
Przy nich ukazuje,
Wiele który
syłab zawiązuje.
Fospolicie się to
zachowuje
Złym czytaniem
dobry wiersz zepsuje,
I sam możesz baczyć
Otoż to: „Złym czytaniem
dobry wiersz zepsuje”.

PIĄTEK. Usługi w charakterze przysługiwanych masowo zgłosili miżczyżni z terenu Łodzi, pragnąc wyjechać (czasowo) do powiatu Jabłonec w Czechosłowacji, który posiada nadwyżki pięknej w stanie wolnym.

Duże brawa dla męskiej ekspansji wcale nie podważa znanych w kraju i za granicą wysoki walorów naszych „wolnych nadwyżek” i nie ma zatem (prężność) charakteru dyskryminacyjnego, lecz kulturalny. Nie należy bowiem zapominać, że Jabłonec słynie nie tylko z nadwyżki pić wolnej, ale również z artystycznego wyrobu sztucznej bizuterii.

SOBOTA. Godzina 2.24. Pół zdania rozzerwał mi radio sąsiada. Zdanie było piękne i tak długie, że



Zabawa

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

W. SOMERSET

MAUGHAM

SIGNORA NICCOLINI

Lubię podróżować, ale nie po to by oglądać imponujące budowle, które nudzą mnie, ani po to by zachwycać się pięknem krajobrazu, który szybko mnie nudzi. Podróżuję po to, by spotykać ludzi, unikam zresztą osobistości wybitnych i nie zadaję sobie trudu, by przejść na drugą stronę ulicy, by uściskać dłoń jakiegoś prezydenta czy króla. Znajomość pisarzy w wystarczający sposób gwarantują mi książki. Znajomość malarzy zawdzięczam ich obrazom. Więc, jak już powiedziałem, podróżuję po to by poznawać zwykłych ludzi. Zdarzało mi się nakładać sto mil, by spotkać misjonarza, o którym słyszałem dziwną historię. Spędzałem już i cały tydzień w zapadłej wiosce tubylczej po to, by zaprzyjaźnić się z pewnym zawodowym graczem w bilarde. Muszę też stwierdzić, że zazwyczaj w znajomościach z ludźmi nie oczekuję niespodzianek. Z jednym wyjątkiem. Mam na myśli owe starszawę Angielki, osiedlające się po całym świecie, w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Jest to dla mnie najbardziej dziwny gatunek człowieka, chociaż od dawna już nie dziwię się, słysząc, iż w jakiejś najnieprawdopodobniejszej okolicy żyje taka starsza pani z Londynu, a zdarza się to i gdzieś na zapadłej prowincji włoskiej i w samotnej hacjendzie w Ardaluzji. Lub co jest jeszcze bardziej zaskakujące, właśnie stara Angielka jest jedynym białym człowiekiem w odległym chińskim miasteczku. Bądź jest samotnym rezydentem wysep-

ki na morzach południowych lub równie samotnym mieszkańcem bungalowu w dżunglach Jawy.

Te stare Angielki wiódą swój samotny żywot, z dala od bliskich i bez przyjaciół. Za zwyczaj bywają niechętnie dla obcych, choć nie widzieliś roduka od lat, przejdą obok ciebie nie zwracając nawet uwagi na twoje istnienie. Jeśli jednak zdarzy się, iż wejdziesz im w drogę zostaniesz zaproszony na filiżankę herbaty przyrządzanej w starym, srebrnym czajniku, wypijesz tę herbatę z jeszcze starszej Worcesterkiej porcelany, zdobnej w szkockie sceny, starsza pani będzie rozmawiać z tobą uprzejmie i takim tonem jakbyście właśnie zasiedli ra werandzie plebanii w hrabstwie Kent. Ale kiedy wstaniesz by się pożegnać z nią, ona przynajmniej nie uczyni nawet najmniejszego gestu by cię zatrzymać. I będziesz na próżno głowił się co ją sprowadziło w ten odległy zakątek świata, czy przywiodły ją tu przygody miłosne czy może jakaś pogoda za wolności?

Ze wszystkich tych Angielek, które spotykałem i o których słyszałem, najwięcej utrwaliła mi się w pamięci postać pewnej starszej damy spotkanej w Malej Azji. Byłem po długiej męczącej podróży i w tej miejscinie znalazłem jedyną w okolicy hotel, ledwie zresztą zasługujący na taką nazwę. Przybyłem późno w nocy, wpiłem sobie nazwisko do książki meldunkowej i udałem się do wskazanego pokoju. Było diabelnie zimno, rozbierając się dostałem dreszczy, ale w chwili później portier zapukał do drzwi i ku mej wielkiej radości wręczył mi termofor z gorącą wodą.

— Signora Niccolini przesyła panu pozdrowienia — powiedział.

— Któż to jest ta signora Niccolini? — spytałem.

— To właścicielka hotelu.

Kazałem mu podziękować. Zauważyłem, że ostatnią rzeczą jakiej oczekiwałem w tym nędznym hoteliku utrzymywanym przez starą Włoszkę w brudnym zakątku Malej Azji — był taki wspaniały i pełen gorącej wody termofor. Muszę wyznać, że niczego bardziej nie lubię kiedy jestem zmarnięty i czeka mnie wyciebie łóżko.

I gdybym nie był znużony opowieściami o wojnie zaraz bym was poczęstował historią sześciu dzielnych, młodych ludzi, którzy ryzykowali swe życie na froncie we Flandrii w czasie diabelskiego bombardowania, by tylko zdobyć termofor z gorącą wodą.

Nazajutrz poprosiłem oczywiście o widzenie z signorą Niccolini i czekając na nią przygotowywałem się do konwersacji w języku włoskim, zmartwiony, iż nie pamiętam jak synowie Italii nazywają termofor. Ale oto już się zjawiała signora — mała zasuszonej kobietka, nie bez pewnego wyrazu godności, owinięta w czarny szal, cała w czarnych koronkach i w czarnym koronkowym czepku. Zdumiał mnie jej widok, bo wyglądała zupełnie tak, jak każda gospodyni w dużym angielskim domu.

— Czy pan chciał ze mną mówić, sir?

A więc była Angielką, poznałem to po tych paru słowach, mówiła z niezafalowanym londyńskim akcentem.

— Chciałem podziękować pani za uprzejmość i troskliwość — powiedziałem nie mogąc ukryć zaskoczenia.

— Wyczytałem w książce meldunkowej, że jest pan Anglikiem, sir, a ja zawsze posyłam termofor z gorącą wodą angielskim gentlemanom. Przez wiele lat pracowałam u lorda Ormskirka, a on zawsze używał w podróży termoforu. Czy mogłabym jeszcze czymś służyć panu?

Odeszła, a ja mogłem teraz łamać sobie głowę, skąd się wzięła w tym zakątku Malej Azji, taka zasuszonej i typowo angielska? Niełatwo było nawiązać z nią bliższą znajomość, bo utrzymywała chłodny dystans. Nie mogłem długo zaspokoić swej ciekawości: Wreszcie od portiera dowiedziałem się, że była pokojową lady Ormskirka, potem powiedziano mi, że signor Niccolini był lokajem lorda.

Wreszcie udało mi się pociągnąć za język i ma dziwną rodaczkę. Wtedy dowiedziałem się, że signor Niccolini był rzymskim przystojnym mężczyzną, że w ciągu lat wspólnej pracy nawiązało się między nimi pewne, jak to z angielską wstrzeźliwością określiła, „porozumienie”. Gdy więc mieli już od-

łożone dosyć pieniędzy by zdecydować się na małżeństwo i zrezygnować z pracy u Ormskirków, zaczęli się rozglądać za jakimś hotelikiem. Signor Niccolini marzył o podróżach i tak oto trzydziści lat temu kupili tę rudą, a w piętnaście lat później signor Niccolini opuścił ten pałęt. Wdowa po nim nie odwiedziła Anglii ani razu. Spytałem, czy nie cierpi na nostalgia.

— Nie powiem, żeby mnie czasami nie kusilo wybrać się z wizytą. Ale widzi pan, moja rodzina krzywo patrzyła na moje małżeństwo, więc zerwałam z nimi. A chociaż wszystko tu jest inne niż u nas, to już się przyzwyczailam i nawet nie tęsknię za ziemią Londynu.

Musieliśmy się uśmiechnąć, bo to co mówiła w zabawny sposób kontrastowało z jej całą postacią: było widać na pierwszym rzut oka, że mimo trzydziestu lat spędzonych na obczyźnie, nie zmieniła się ani trochę i o asymilacji nie mogło być mowy. Nawet po turecku mówiła z londyńskim cockneyowskim akcentem, mimo upływu lat pozostała typową angielską panną służącą. Zauważyła to chyba najbardziej typowej z naszych narodowych cech: nieumiejętności dziwienia się. Wszystko przyjmowała jako rzecz oczywistą, na obokracjowców patrzyła z góry, z chłodnym pobłażaniem. Hotelem rządziła w sposób despotyczny, ale dzięki temu rudera była wyjątkowo schludna.

— Robię co mogę — powiedziała, gdy pogratulowałam jej tego. Stała z rękoma założonymi w maldrzyk. — Oczywiście nie można oczekiwać od tubylców by nam dorównywali, więc niech się pan nie dziwi niedostatkom, jesteśmy w Azji, ale robię co mogę i jak jego lordowska mość mówił zawsze do mnie, „staram się nawet z takiego surowca coś wyrzeszać...”

Największą jednak niespodzianką zgotowała mi signora Niccolini tuż przed odjazdem.

— Byłabym rada, gdyby pan zechciał poznać moich synów, sir. Wyjeżdżali za interesami, ale już są w domu i będzie pan zdumiony, gdy ich zobaczy. Sama wszystkiego uczyłam chłopaków, by

mogli prowadzić hotel, kiedy mnie zabraknie.

I oto zjawily się w hallu dwa dryblaszy, na których widok oczy signory zabłysły radością. W następnej chwili stałem się świadkiem serdecznej rodzinnej sceny. Gdy wreszcie skończyły się uściski i pocałunki, signora Niccolini znów złożyła ręczki w maldrzyk i przybrała swą zwykłą skromną pozę.

— Chłopcy nie mówią po argielsku, sir, ale trochę rozumieją. Oczywiście, władają tureckim, greckim i włoskim. Uściskałem im dłonie, a signora Niccolini jednym krótkim słowem odprawiła ich i znów zostaliśmy sami.

— Bardzo przystojne chłopaki, powiedziałem — może być pan z nich dumna.

— Oczywiście, bo to naprawdę dobrzy chłopcy. Nie miałam przez nich ani chwili smutnienia od dnia, w którym się urodzili. No i są wy-

kapanymi portretami signora Niccolini.

— Prawdziwi Włosi — powiedziałem — nigdy bym nie zgadł, że ich matka jest Angielką.

— Nie jestem ich matką, sir.

— To są synowie signora Niccolini i pewnej greckiej dziewczyny, która służyła w naszym hotelu. Ponieważ nie mam dzieci, zaadoptowałam ich.

Zrobiłem zdumioną minę.

— Mam nadzieję, że nie pomyślał pan niczego złego o panu Niccolini — powiedziała moja rozmówczyni i trochę się nasrożyła. — Bardzo byłoby mi przykro, gdyby pan coś takiego pomyślał.

— Podała mi dłoń na pożegnanie i z mieszaniną dumy, zażenowania i satysfakcji dorzuciła: — Bo widzi pan, signor Niccolini to był naprawdę 100-procentowy mężczyzna.

SPEKTAKLE tygodnia

Film		
WŁOKNIARZ	„Syn kapitana Blooda'a”, 35 seansów	16.983 — 80%
POLONIA	„Wspaniały rogacz”, 35 seansów	19.727 — 65%
Teatr		
NOWY	„Faust”, 2 spektakle	800 — 60%
	„All Baba”, 3 spektakle	2100 — 100%
	„Lato w Nohant”, 1 spektakl	700 — 100%
	„Bliźniaki”, 1 spektakl	700 — 100%
NOWY Mała Sala	„Drewniana miska”, 2 spektakle	400 — 100%
JARACZA	„Kolumbowie rocznik 20”, 5 spektakli	2.900 — 88%
	„W pustyni i w puszczy”, 2 spektakle	1.350 — 100%
POWSZECHNY	„Nasze miasto”, 2 spektakle	1180 — 90%
	„Dom otwarty”, 1 spektakl	660 — 100%
	„Tango”, 1 spektakl	660 — 100%
7.15	„Klamczucha”, 6 spektakli	2800 — 85%
OPERETKA	„Piękna Helena”, 6 spektakli	4800 — 73%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	796 słuchaczy 60%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają stosunek liczby widzów do ilości miejsc na widowni.



Zarty poświęczone czechskich rysowników

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym okiem

CO TAM MARZYĆ...

Z radością czytam pojawiające się od czasu do czasu w prasie informacje o tym, ile to ton sadzy spadało dziennie na jeden kilometr kwadratowy Łodzi przed dwudziestu laty, ile przed dziesięcią, ile dziś. Ze smutkiem czytam, że na całą Polskę rocznie spada dziesięć milionów ton pyłów przemysłowych rocznie, czyli przeciętnie byłoby ponad trzydzieści dwie tony na każdy kilometr kwadratowy, gdyby nie to, że my, Łodzianie do spółki ze Ślązakami zagarniamy z tego strach powiedzieć, jak dużą część.

Niedawno pewien bardzo uczony inżynier, profesor Łódzkiej Politechniki, oświadczył podczas publicznej dyskusji w klubie: „co wy chcecie od

nas, zapalenia i zadymienia można uniknąć, technicznie umiemy to zrobić; sekret leży w opłacalności. Miećcie pretensję do ekonomistów, nie do inżynierów!”

Byłem wstrząśnięty. Wiadomo przecież, że po pierwsze — ekonomisci jak już coś wyliczą, to żadne trzęsienie ziemi nie pomoże, a po drugie — z każdego takiego wyliczenia musi wynikać, że nie się nie oplaci. Jakże więc bez smutku patrzeć na czajniki i talerze, na kolorową niegdysz zaslonek, na ściany tylko co odnowionej kuchni...

A był czas, kiedy przedmiotem zażdrości wielu gospodyń była instalacja gazowa w mieszkaniu, nie mówiąc o centralnym ogrzewaniu. Jakaż to czysta robota — mówiły nasze matki — ani ręką węglem nie umolisz, ani się nie zakopci kiedy cugu nie ma, ani garnki sadzą czarna nie porosną. Dawny to czas i chyba nieprawdźwiny. Bo oto mamy w kuchni wyłączenie gaz, w pokojach tylko centralne. Nad każdym kaloryferem w dwa tygodnie po odnowieniu czarne pionowe smugi — aż pod sufit. Sufit w tym miejscu czernieje jak w kurnej chacie. W kuchni lepiej niczego nie dotykać; palce stają się tuste i czarne. Sierka maluje na lodówce czarne zawiąsy, śliza się po tłuszczu. Wszystkie gładkie powierzchnie porastają momentalnie — po paru dniach — ohydny,

łustym, cuchnącym brudem. Cała gazowa kuchonka — jakbyś ją wysmarował towotem, naczynia stawianych na paleniskach nie można domyć. Jedyna zaleta: zaslonek po metalowym przecie suwa się bezszelestnie i leciutko, pret bowiem aż ociekła tłustą sadzą. Szybki w oknie są niemal zawsze brudne i to właśnie od wewnątrz. Czarna rozpacz. Czarna i tłusta. Wcale nie z powodu fabrycznych kominów. Wystarczyłoby, żeby „zeberka” ogrzewcze w pokojach były naprawdę szczelne, a gaz... Czy to nie zbyt śmiałe żądanie? Gaz żeby był świetlnym gazem. Nie mieszaniną smoły, fosfenu, pyłu węglowego i gliceryny. Żeby ruszły w łazience nie zapychały się tym „gazem” już po jednej kąpieli rodzinnej. Żeby ten „gaz” nie zwieszal się ze ścian i z sufity nitkami sadzy, nie smarował czajników i patelni obrzydliwym pokostem, nie zlepił gąbel, szczotek, ścierek i zmywaków w cuchnące szmaty...

Ech, kochani! Co tam marzyć? Dłaczegoż to obuwie jest złe, telewizory się psują, swetry nie wytrzymują prania, pończochy — wkładania na nogi, a gaz — właśnie gaz — ma być dobry i czysty?

Kwestia ekonomiczna. Nie oplaci się.

CWIEK.

Kedaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosy”. Druki RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 22. I. 66. E-2